

MAGAZYN *razem z dodatkami*

- Depresja nie jest lenistwem. Co o niej wiemy i jak ją skutecznie leczyć?
 - Zapomniany marsz z 17 listopada 1918 roku ● Serce do serca. 40 lat temu był pierwszy udany przeszczep
- PLUS** TELEMAGAZYN z programem TV



GŁOS DZIENNIK POMORZA SZCZECIŃSKI

Piątek
14.11.2025

Nr 264 (5721)
Nakład: 9.790 egz.

www.gs24.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Psi mistrzowie szukają miejsca do treningów



FOT. NADESŁANE

Flyball, jedyny na świecie drużynowy sport kynologiczny, to ich pasja. W wyścigach psich sztafet osiągają coraz większe sukcesy **TYGODNIK REGIONÓW – STR. 12**

W Świnoujściu zatonał niemiecki statek. Można się było tego spodziewać. Armator się nim nie interesował **str. 4**

Prezydent kontra rząd. To polityczna wojna totalna. Na pierwszej linii minister Żurek **str. 8**

– Jeszcze wszyscy będziemy się wstydzić – mówi jedyny skazany za katastrofę promu „Heweliusz”. Po latach docenił go Netflix **TYGODNIK REGIONÓW – STR. 14**

Lokalni wojownicy w sobotę zaprezentują się przed szczecińską publicznością **str. 20**

Szczecińscy radni w fabryce gondoli. Chcieli sprawdzić, dlaczego Vestas nie zbuduje fabryki **str. 3**

Zwolnieni za niską wydajność wygrali w sądzie. Dostaną odprawy **str. 6**

Rok temu zaginęła Beata Klimek. Prokuratura kolejny raz przedłuża śledztwo **str. 4**

Nr ISSN 0137-9178

Nr indeksu 348-570



9 770137 917052



Nowy mural w centrum miasta na ścianie przy hotelu Dana kiosk Ruchu przeniesiony z minionych dekad **str. 3**



FOT. MIKOŁAJ TONCZAK

– Nigdy się nie poddawajcie. Macie tylko jedno życie i na nic nie jest za późno. Realizujcie marzenia, pokonujcie przeszkody – mówi pan Maciej Świątłowski, który właśnie w szpitalu w Zdunowie wziął ślub **TYGODNIK REGIONÓW – STR. 17**

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Jacek Poniedziałek nie ukrywa prawdy o sobie	PONIEDZIAŁEK ● Sportowy24: Grali na boiskach, grali na parkietach	WTOREK ● Strefa Biznesu: W gąszczu ekonomii nie zginięsz	ŚRODA ● Strona Zdrowia: Padaczka. Jak żyć z tą chorobą?	CZWARTEK ● Pod Paragrafem: Krwawy wtorek w Krakowie	PIĄTEK ● Puls i Tygodnik Regionów. Teksty ze znakiem jakości
---	---	--	---	---	--

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

Jest obowiązek obrony ojczyzny, jak zostanie zaatakowana

Ewelina Krajczyńska-Wujec
Rozmowa

Z ks. Mateuszem Markiewiczem, sekretarzem generalnym Instytutu Dobrego Państwa.

Czy istnieje moralny, etyczny obowiązek obrony ojczyzny? Taki obowiązek występuje, gdyż człowiek nie jest jednostką odizolowaną od reszty społeczeństwa. Gdzieś się narodził, gdzieś umrze, ma jakieś więzi. Te relacje powodują, że mamy też pewne zobowiązania wobec innych ludzi, wobec wspólnoty i ojczyzny, a nie tylko same prawa. Jeżeli nie przyjmujemy indywidualistycznej wizji osoby ludzkiej, to widząc człowieka, który z natury jest bytem społecznym, widzimy także, że ma pewne obowiązki wobec swojej społeczności. A tym samym również obowiązek jej bronięcia, kiedy zostanie zaatakowana niesłusznie.

Z czego - według doktryny katolickiej - wynika obowiązek obrony ojczyzny?

Nakazuje ją czwarte przykazanie: „Czcij ojca swego i matkę swoją”, które w sposób szczególny wskazuje na więź między Bogiem a resztą społeczności. Już rodzice są tymi, którzy współpowołują do życia osobę ludzką. Tym samym w sposób dosyć delikatny zostało podkreślone to, iż człowiek ma szczególne zobowiązania wobec tych jednostek, tych najbliższych członków społeczności, którym zawdzięcza życie. Zobowiązania te dotyczą nie tylko rodziców, ale też większej wspólnoty naturalnej, której jako ludzie jesteśmy częścią, iż uznajemy fakt, że nie wzięliśmy się znikąd, tylko jesteśmy wpisani w daną społeczność.

Piąte zawarte w Dekalogu przykazanie mówi jednak: „Nie zabijaj”. Jak je odnieść do obowiązku obrony ojczyzny?



FOT. INSTYTUT DOBREGO PAŃSTWA

Mateusz Markiewicz: - Wojna jest przypadkiem obrony koniecznej, ale na wielką skalę

Z punktu widzenia nauki Kościoła piąte przykazanie brzmi bardziej: nie morduj - w sensie nie zadawaj śmierci w sposób intencjonalny komuś, kto nie stanowi zagrożenia. Bo na przykład tak samo można by było powiedzieć, że nie można spowodować czyjejś śmierci, na przykład w wyniku obrony koniecznej. Wojna jest przypadkiem obrony koniecznej, ale na wielką skalę.

A co z osobami, które z powodu np. własnych przekonań po prostu nie chcą wstąpić do wojska, nie chcą walczyć na froncie i w imię obrony ojczyzny pozbawiać kogoś życia?

Czymś innym jest indywidualne podejście, w którym ktoś z różnych przyczyn - może być to na przykład jakaś osobista trauma związana z różnymi wydarzeniami - nie czuje się na siłach, żeby walczyć z bronią w ręku. Jednak nie oznacza to, że ma prawo do całkowitego zwolnienia z obowiązku obrony ojczyzny. Tym bardziej że ten obowiązek obejmuje szereg różnego typu zadań. Niekoniecznie oznacza tylko walkę na froncie.

To uznaje również Konstytucja RP, więc w tym przypadku zarówno Kościół, jak i Państwo myślą podobnie. Sądzę też, że zwłaszcza od strony Państwa jest to myślenie po części praktyczne. Żołnierz, który nie jest oddany, czy też wbrew sobie samemu

ma służyć, nie jest najwydajniejszym żołnierzem. I też sądzę, zwłaszcza przy dzisiejszych środkach walki, że nie tyle liczy się liczba żołnierzy, co raczej ich motywacja do działania. Tak więc uważam, że tego typu rozterki moralne są znacznie mniejsze i realnie mogą się znacznie rzadziej zrealizować niż w czasach, kiedy mieliśmy jeszcze wojny totalne, dekady temu.

A czy są jakieś granice obrony, zakładając, że już jesteśmy na tej wojnie, już bierzemy w niej udział?

Jest kilka powodów, dla których należy wręcz odmówić walki z wrogiem. Na przykład jeżeli sama wojna została spowodowana działaniami własnego państwa. Jeżeli na przykład jest to niesłuszna agresja w celu zaboru mienia czy też zaboru terytorium innego państwa. Ponadto należy odmówić posługi w armii, jeżeli to, co jest nam nakazane, nie dotyczy bezpośrednio zwalczania armii wroga czy też jego bezpośredniego zaplecza, lecz raczej koncentruje się na gnębieniu i mordowaniu ludności cywilnej. Wtedy wojna taka jest określona mianem wojny niesprawiedliwej.

Czy istnieje coś takiego jak wojna sprawiedliwa?

Na ten temat toczyło się wiele debat. Klasyczna filozofia i teologia uważały, że wojna sprawiedliwa istnieje. Po pierwsze jednym z warunków przypadek wojny sprawiedliwej jest wojna obroncza wobec niesłusznej agresji i wpisująca się w nią obrona uniwersalnych wartości, jak odwaga, obrona słabszych albo bunt przeciwko niesprawiedliwości. Wojna sprawiedliwa to też wojna, która ma na celu odbudowanie stosunku sprawiedliwości między narodami, jeżeli wszelkie inne metody okazały się bezskuteczne z powodu niechęci jednego z zaangażowanych państw. Możemy dać jako przykład sąsiada, który wbrew traktatowi międzynarodowemu, po-

mimo licznych negocjacji i postanowień właściwych organów międzynarodowych, czyni swojemu sąsiadowi dostęp do jedynego źródła wody pitnej niemożliwym. Wskutek jednostronnego zerwania ważnej umowy życie i zdrowie ludności jednego kraju jest w niebezpieczeństwie. Jego władze mają więc prawo dokonania precyzyjnej interwencji w celu zmuszenia sąsiada do poszanowania zobowiązań międzynarodowych. Nie ma jednak całej, gotowej listy przykładów wojen sprawiedliwych, gdyż tu chodzi raczej o roztropne rozważenie, czy wojna jest rzeczywistym jedynym dostępnym rozwiązaniem w danej sytuacji, gdyż wszystkie inne okazały się nieskuteczne. Nawet moralnie dopuszczalna wojna jest jednak zawsze ostatecznością.

Badania sondażowe pokazują, że znaczna część Polaków nie stawiałaby się do obrony kraju w razie zagrożenia wojną. Jak bardzo postawy wobec własnej ojczyzny zmieniły się na przestrzeni dekad? Czy dawniej pojęcie ojczyzny miało inne znaczenie?

Dzisiejsze czasy, w których możemy doświadczać świata ze wszystkich stron, owszem, mają dobre strony, ale też powodują pewnego rodzaju wynarodowienie. Tak zwana kultura masowa, nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach, nie przekazuje wartości - czy to ogólnoludzkich, czy też wartości narodowych; nie pokazuje ojczyzny jako czegoś dobrego, czegoś odziedziczonego, co trzeba przekazać następnym pokoleniom. Jest to też odpowiedzialność i, niestety, ogromna wina kultury masowej, która nie tworzy ludzi kulturalnych, w sensie posiadających zasób bogactwa intelektualnego, artystycznego; tylko tworzy konsumentów produktów kulturowych. Jest mało prawdopodobne, że ktoś, kto nie postrzega ojczyzny i kultury jako swojego dziedzictwa, będzie chciał stanąć w jej obronie.

KALENDARIUM

14 LISTOPADA

Światowy Dzień Cukrzycy ustanowiony przez Międzynarodową Federację Diabetologiczną w 1991 we wspomnienie św. Hipacego, patrona cukrzycy i w 2006 przez Zgromadzenie Ogólne ONZ

POLSKA

1534

Uchwalono Artykuły sejmiku w Środzie - najstarsze instrukcje poselskie wystawione w języku polskim.

1896

W Teatrze Miejskim w Krakowie odbył się drugi na ziemiach polskich pokaz filmowy z wykorzystaniem aparatury braci Lumière. Pierwszy miał miejsce 18 lipca w Warszawie na aparaturze edisonowskiej.

1918

Rada Regencyjna samorozwiązała się i przekazała pełnię władzy Naczelnemu Do-

wódcy WP Józefowi Piłsudskiemu; Królestwo Polskie stało się Republiką Polską, początkiem II Rzeczypospolitej

1982

Do Gdańska powrócił zwolniony z internowania Lech Wałęsa.

ŚWIAT

1888

Zainaugurował działalność Instytut Pasteura w Paryżu. Zajmuje się głównie mikrobiologią, immunologią, zwalczaniem chorób zakaźnych oraz produkcją szczepionek i surowic.

1901

Austriacki patolog i immunolog Karl Landsteiner odkrył grupy krwi: A, B i O.

1908

Albert Einstein przedstawił teorię kwantów.

1953

Przyjęto flagę NATO.

ZDJĘCIE TYGODNIA



FOT. MARCIN BIELECKI / PAP

Ponad trzystu uczestników - m.in. studenci Politechniki Morskiej, Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, przedstawiciele Straży Granicznej, Policji, Żandarmerii Wojskowej, WOPR oraz Ochotniczych Straży Pożarnych z regionu wzięło udział w dwudniowych Niepodległościowych Manewrach Bezpieczeństwa 2025. Służby antyterrorystyczne ćwiczyły szturm na jednostkę „Nawigator XXI”, uwalnianie zakładników i ewakuację w kombinezonach ratunkowych do tratw i wody. Jednocześnie służby ratownicze prowadziły ewakuację i poszukiwania osób zaginionych, udzielały pierwszej pomocy i przygotowywały poszkodowanych do transportu medycznego, wykorzystując łodzie SAR, quady i namioty segregacyjne.

Radni chcieli dowiedzieć się, dlaczego nie będzie nowej fabryki na Skolwinie

Bogna Skarul
Szczecin

- Miałem dość fake newsów na temat fabryki Vestas w Szczecinie jakie słyszałem w przestrzeni publicznej od przedstawicieli PiS - powiedział Stanisław Kaup, przewodniczący Komisji ds. Gospodarki Morskiej, Rozwoju i Promocji szczecińskiej Rady Miasta.

Vestas w ubiegłym miesiącu poinformował, że wstrzymuje budowę dużej fabryki łopad do turbin wiatrowych na Skolwinie w Szczecinie. Powodem był niższy popyt na morskie farmy wiatrowe w Europie oraz rosnące koszty produkcji. Planowana inwestycja miała zatrudnić ponad 1000 osób i była jednym z największych projektów przemysłowych w regionie.

Firma w swoim komunikacie zaznaczyła, że to zawieszenie, a nie rezygnacja, a planowaną inwestycję można odłożyć na później, jeśli sytuacja rynkowa się zmieni.

Wczoraj Komisja ds. Gospodarki Morskiej, Rozwoju i Promocji Rady Miasta wybrała się do szczecińskiej siedziby firmy Vestas na Ostrowie Brdowskim, by na miejscu poznać szczegóły.

- Mam nadzieję, że radni PiS nie będą rozpowszechniać teraz fake newsów na temat wycofania się firmy Vestas z inwestycji na Skolwinie - powiedział Stanisław Kaup, przewodniczący komisji. - Wszyscy usłyszeliśmy, jakie były przyczyny wycofania się z budowy kolejnej fabryki.

Przedstawiciele firmy Vestas jasno powiedzieli, że to nie wina ani władz miejskich Szczecina, ani rządu RP, ani Donalda Tuska, tylko... prezydenta USA Donalda Trumpa.

- Dowiedzieliśmy się, że budowa fabryki w Skolwinie została zawieszona ze względu

na politykę Stanów Zjednoczonych - oznajmił przewodniczący komisji. - Przemawiały za tym względy ekonomiczne, bowiem USA nie jest przychylna OZE i offshorowi. To decyzja prezydenta Donalda Trumpa, a że Donald Trump jest ulubiony prezydentem przedstawicieli PiS, to te złe emocje kierowane są przez radnych PiS nie we właściwą stronę.

Przedstawiciele Vestasa przyznali, że bardzo sobie cenią współpracę ze szczecińskim samorządem, nadal zamierzają rozwijać fabrykę w Goleniowie, a do fabryki na Ostrowie Brdowskim chcą zatrudnić kolejnych pracowników.

- Myślę, że radni po tej wizycie mogą być zadowoleni i już spokojni - zaznaczył Stanisław Kaup. - Ale smuci mnie, że w tym wyjazdowym posiedzeniu wziął udział tylko jeden radny PiS. Mam nadzieję, że teraz on przekaze reszcie prawdziwe informacje na temat Vestasa i wstrzymania budowy fabryki na Skolwinie. Miał przecież okazję zderzyć się z faktami, które zupełnie przeczą dotychczasowej narracji radnych i posłów PiS.

Zaznaczył przy tym, że na wyjazdowe posiedzenie zostali zaproszeni wszyscy radni Szczecina, nie tylko członkowie komisji.

- Ale nie wszyscy z zaproszenia skorzystali. Zwracam uwagę na brak radnych Prawa i Sprawiedliwości, którzy tak ochoczo komentowali decyzje inwestycyjne firmy Vestas, a oprócz radnego Romianowskiego nie stawili się, aby na własne oczy przekonać się, jak wygląda funkcjonowanie fabryki - podkreślił Kaup.

Dodał też, że to wyjazdowe posiedzenie komisji miało także na celu zapoznanie radnych z planami firmy, która inwestuje w Szczecinie.

©©



Vestas ma fabrykę montującą gondole i piasty dla morskich turbin na Ostrowie Brdowskim

Nowy mural powstaje w centrum miasta

Agata Maksymiuk
Szczecin

Na ścianie kamienicy przy al. Wyzwolenia, tuż obok hotelu Dana, pojawił się nowy mural autorstwa Lumpa - jednego z najbardziej rozpoznawalnych street-artowców.

Praca, utrzymana w tonacji monochromatycznej z niebiesko-czerwonym filtrem, przedstawia kiosk Ruchu z minionych dekad, przed którym

ustawiła się kolejka ludzi. Nostalgiczny motyw przywołuje czasy PRL-u, kiedy kioski były nie tylko miejscem zakupu gazet czy znaczków, ale też codziennych spotkań i wymiany informacji.

Mural został wykonany w charakterystycznej dla Lumpa technice, polegającej na warstwowaniu i „ścieraniu” farby, co daje efekt zużycia i odkrywania kolejnych planów obrazu. Co można również odczytać, jako odkrywanie warstw przedstawianej historii.



FOT. MIKOŁAJ TOMCZAK

REKLAMA

0011427611

ALUPROF
SYSTEMY ALUMINIOWE

PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE

Szymon Marciniak

SkyTwin

Pierwsza roleta zewnętrzna zintegrowana ze screenem

www.aluprof.com/dom

ALUPROF GRAMY FAIR z NATURA

W Świnoujściu zatonał niemiecki statek - tego można było się spodziewać

Bogna Skarul
Świnoujście

Nikogo w Świnoujściu specjalnie nie zdziwiło, że przy nabrzeżu Basenu Północnego Portu Jachtowego im. Jerzego Porębskiego w Świnoujściu zatonał statek. Bo to dla miasta problem, który „wlecze się” od 2023 roku.

- To niemiecka jednostka, która zacumowała w Świnoujściu w 2022 roku - mówi Wojciech Basałygo z świnoujskiego magistratu. - W maju 2022 roku niemiecki armator podpisał z OSiR Wyspiarz (gospodarzem basenu) umowę rezydencką na rok. Za 2022 i część 2023 roku zapłacił. Ale w maju 2023 roku słuch po armatorze zaginął.

Od 2023 roku do lipca 2024 roku OSiR Wyspiarz bezskutecznie próbował się skontaktować z właścicielem jednostki - telefonicznie, mailowo, pisemnie. - Korespondencja wracała z adnotacją - błędny adres - mówi Basałygo.

Dopiero po zatrudnieniu kancelarii prawnej, specjalizującej się z w prawie morskim, udało się ustalić nowy adres armatora.

- Ale w międzyczasie OSiR Wyspiarz wielokrotnie zgłaszał się do Urzędu Morskiego z wnioskiem o usunięcie jednostki z basenu - zaznacza Wojciech Basałygo. - Ten niestety odmawiał. Trzeba było zatrudnić kancelarię prawną.

Wojciech Basałygo tłumaczy, że pozbycie się niemieckiej jednostki ze świnoujskiego basenu stało się konieczne, gdyż miejsce postoju jednostki koliduje z planowaną inwestycją - wymianą pomostów pływających.

W sierpniu tego roku OSiR złożył do Prokuratury Rejonowej w Świnoujściu zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa polegającego na doprowadzeniu jednostki budżetowej - OSiR Wyspiarz do niekorzystnego rozporządzenia mieniem. A to nastąpiło w związku z bezumownym, wielomiesięcznym zajmowaniem miejsca postojowego przez statek „Kehrwieder” w Porcie Jachtowym na Basenie Północnym w Świnoujściu oraz celowym unikaniu kontaktu, płatności i obowiązku usunięcia jednostki.

- Trwa dochodzenie - informuje Basałygo i dodaje, że udało się znaleźć nowy adres zamieszkania dłużnika.

Twierdzi także, że właściwie nikogo w Świnoujściu nie dziwi zatonięcie niemieckiej jednostki.

- To statek, który w tej chwili ma z 70-80 lat - tłumaczy. - Jest zniszczony, nikt o niego nie dba. Nie jestem zdziwiony, że przez dziury w jednostce dostała się do środka woda i statek zatonał.

Dodaje przy tym, że teraz pewnie będzie toczył się spór nie o usunięcie jednostki, a o usunięcie wraku.

Śledztwo w sprawie zaginięcia Beaty Klimek przedłużone

Mariusz Parkitny
Szczecin

O pół roku Prokuratura Regionalna w Szczecinie przedłużyła śledztwo w sprawie zaginięcia Beaty Klimek. - Wciąż trwa gromadzenie materiału dowodowego - tłumaczy prokurator.

O tej sprawie słyszała cała Polska. Na powrót mamy czeka trójka jej małych dzieci, siostra, która się nimi teraz opiekuje i siostrzenica, która od dnia zaginięcia nie ustaje w staraniach, aby wyjaśnić, co się stało z ukochaną ciocią.

A tragedia rozegrała się praktycznie na przestrzeni kilkuset metrów w małej miejscowości pod Łobzmem.

Pani Beata wyszła rano z domu, aby odprowadzić dzieci na autobus do szkoły. Odległość między przystankiem a posesją to kilkaset metrów. W drodze do domu, kobieta odwiedziła jeszcze sąsiadkę, która chciała się z nią podzielić świeżym mięsem, które akurat dostała. Do domu zostało jej ok. 200 metrów. Wyszła od sąsiadki i ruszyła po dokumenty dobrze sobie znana ulicą. Za chwilę miała jechać do pracy w Łobzie. Ale do domu już nie dotarła.

Jak to w takich sprawach bywa, podejrzenia padły na jej męża. Ale prokuratura nie znalazła żadnych dowodów jego winy. Mężczyzna, kiedy jeszcze rozmawiał z mediami, stanow-



Po zaginięciu dzieci pani Beaty (na zdjęciu) trafiły pod opiekę siostry.

czo zaprzeczał, że skrzywdził żonę. W tamtym czasie para planowała rozwód po 26 latach małżeństwa, a mężczyzna był już związany z inną kobietą (związek ten nie przetrwał).

- Przedłużyliśmy śledztwo o pół roku. Wciąż trwa gromadzenie materiału dowodowego. Do tej pory przesłuchaliśmy wielu świadków, zleciliśmy wiele specjalistycznych opinii, których wyników dla dobra śledztwa w tej chwili nie ujawniamy, badaliśmy teren, na którym doszło do zaginięcia. Nikt nie usłyszał zarzutów. Postępowanie prowadzone jest pod kątem nieumyślnego spowodowania śmierci, ale to standardowa kwalifikacja w takich przypadkach - mówi prokurator Małgorzata Wojciechowicz z Prokuratury Regionalnej w Szczecinie.

Po kilku miesiącach od zaginięcia pani Beaty, jej mąż usłyszał zarzuty znęcania nad dziećmi.

- Śledztwo to zostało zainicjowane złożeniem zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez szkołę podstawową, do której uczęszczały małe dzieci pokrzywdzeni. W toku postępowania zgromadzono niezbędny materiał dowodowy, w tym przesłuchano w charakterze świadków osoby posiadające wiedzę o sytuacji rodzinnej małych dzieci. W ocenie prokuratora zgromadzony na obecnym etapie materiału dowodowy dawał dostateczne podstawy dla wydania względem Jana K. postanowienia o przedstawieniu zarzutu znęcania - mówił prokurator Łukasz Błogowski z Prokuratury Okręgowej w Szczecinie.

Jan K. nie przyznał się do winy i złożył wyjaśnienia. Po przesłuchaniu wyszedł na wolność za 20 tys. zł poręczenia majątkowego. Ma zakaz kontaktowania się w jakiegokolwiek formie z małoletnimi pokrzywdzonymi oraz zbliżania się do nich. Grozi mu do 8 lat więzienia.

Jakiś czas temu nagrał audycję, która wyemitował w internecie. Przekonywał opinię publiczną, że był dobrym mężem i ojcem i będzie walczył o dzieci. Przyznał też, że nie jest już z dotychczasową partnerką. O zaginięciu żony jednak nie wspominał.

- Bardzo bałem się samotności emocjonalnej. Miałem rodzinę, a czułem się samotnie. Czułem, że jestem tylko do zarabiania pieniędzy. Brakowało mi zwykłego ciepła, zauważenia, małego gestu czy czułości. Popiełem błąd, szukając tego poza domem. Przyznaję się do tego, że to był mój błąd. Pokochałem inną kobietę i wyprowadziłem się z domu. Mniej czasu poświęcałem dzieciom. Chciałem to zmienić, chciałem być blisko dzieci, dlatego przyjeżdżałem do rodziców. Agnieszka chciała jeździć do nich razem ze mną. Jestem krytykowany, oceniany negatywnie, ale nie było to moim celem ranić Beatę, sprawiać jej przykrości. Nie zdawałem sobie sprawy, że dla Beaty jest to tak bolesne. Chciałem jedynie być bliżej dzieci i być z nową partnerką - mówił.

Samorządy Świnoujścia i Międzyzdrojów narzekają na brak konsultacji

Bogna Skarul
Świnoujście

186 hektarów nowego lądu, blisko 3 km nowego nabrzeża z falochronem, tor podejściowy oraz basen portowy o głębokości 17 metrów, a przede wszystkim Głębokowodny Terminal Kontenerowy - to planowana nowa inwestycja w Świnoujściu.

Wczoraj w Przytorze, na miejscu planowanej budowy terminala kontenerowego mówili o bólach związanych z tą inwestycją przedstawiciele Świnoujścia i Międzyzdrojów.

- Od kilku tygodni głośno jest o tzw. Przylądku Pomorania, którego obszar ma obejmować około 186 hektarów zlokalizowanych na akwenu Morza Bałtyckiego - zaczęła Joanna Agatowska. - Miasto Świnoujście jest sceptyczne, ponieważ

nigdy nie otrzymaliśmy żadnej wiarygodnej analizy ekonomicznej, środowiskowej czy społecznej - podkreśliła prezydentka i dodała, że brak tych analiz, to brak zasadności lokalizacji obszaru przemysłowego w Świnoujściu. - A to przecież miejsca o ogromnych walorach środowiskowych, turystycznych, uzdrowiskowych. To przestrzeń, którą Świnoujście tak powinno rozwijać, również społecznie.

Nie kryła, że ma konkretne oczekiwania wobec inwestorów. Chodzi przede wszystkim o budowę drogi Ku Morzu i dostęp do Latarni Morskiej oraz Fortu Gerharda.

- To zabytki klasy europejskiej, unikat, które są zlokalizowane przy gazoporcie i do których dostęp został całkowicie odcięty przez stworzenie tam strefy bezpieczeństwa - mówiła Agatowska i dodała: - Jest to przedmiot porozumie-



Koszty budowy morskiej i lądowej infrastruktury planowanego portu to ok. 10 mld zł

nia, które zostało zawarte pomiędzy miastem a spółką Gaz-System w roku 2022 i niestety nie jest realizowane.

Powiedziała także, że oczekuje, aby zostały rozwiązane jeszcze inne problemy Świnoujścia. I wymieniła: dofinanso-

wanie do utrzymania dwóch przepraw promowych oraz tunelu, rozwiązanie problemu mieszkańców ulic Sołtana i Ludzi Morza, którzy zostali włączeni w obszar portowy i którzy mają bardzo trudne warunki funkcjonowania.

- Trzeba się zastanowić, czy wydanie tych kilka miliardów, które są potrzebne na inwestycję, będzie miało ekonomiczne uzasadnienie - mówiła prezydentka Świnoujścia i od razu dodała, że boi się, że zabraknie pieniędzy na modernizację i remonty infrastruktury portowej w Świnoujściu.

Podkreśliła, że w nienajlepszym stanie technicznym jest cała istniejąca infrastruktura.

- I dlatego, jako prezydent miasta Świnoujście, mówię głośno, wyraźnie, i transparentnie - zaznaczyła. - Oczekujemy od Zarządu Morskich Portów w Szczecinie i Świnoujście oraz również od rządu, który jest dysponentem tych terenów, partnerskiego traktowania.

Chce rozmów, konsultacji przed podjęciem decyzji. Jak zaznaczyła, jest bardzo rozczarowana postawą Jarosława Siergieja, prezesa Zarządu Morskich Portów Szczecina i Świnoujścia.

- A mieszkańcy Świnoujścia chcą po prostu na tych pięknych terenach godnie mieszkać - twierdzi Joanna Agatowska. - Nieprawdą jest to, co mówił pan prezes Siergiej, że cokolwiek było konsultowane. To jest niezgodne z demokratycznym podejściem i partnerskimi relacjami, które powinny opierać się przede wszystkim na zaufaniu, budowaniu wiarygodności, prawdziwym dialogu i prawdziwej współpracy - podkreśliła.

Powiedziała także, że jej zdaniem wszystkie problemy są do rozwiązania.

- Jako samorząd miasta Świnoujście proponowaliśmy i proponujemy nadal konkretne rozwiązania - stwierdziła.

Do czasu zamknięcia gazety nie otrzymaliśmy stanowiska Zarządu Morskich Portów Szczecina i Świnoujście.

©



Zainwestuj w OZE ze wsparciem z ARiMR

Rolnicy, którzy chcą zainwestować w swoich gospodarstwach w odnawialne źródła energii, czy też zmodernizować pod względem energetycznym budynki służące produkcji, mogą składać w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa wnioski o dofinansowanie takich przedsięwzięć. Nabór trwa do 19 listopada 2025 r., a środki na ten cel pochodzą z budżetu Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027.

Obniżenie rachunków za energię potrzebną do prowadzenia działalności rolniczej, zwiększenie niezależności energetycznej gospodarstwa, zagospodarowanie odpadów rolniczych, ograniczenie negatywnego wpływu na środowisko – m.in. dla tych korzyści rolnikowi opłaca się inwestować w odnawialne źródła energii (OZE).

FOTOWOLTAIKA I BIOGAZOWNIE

Energia słoneczna to jedno z najbardziej dostępnych odnawialnych źródeł energii, które z powodzeniem może być wykorzystywane w rolnictwie. Panele fotowoltaiczne przekształcają promieniowanie słoneczne w energię elektryczną, która może być używana na potrzeby gospodarstw. W szczególności panele słoneczne mogą zasilać urządzenia elektryczne, pompy wodne, systemy nawadniające czy oświetlenie budynków gospodarczych.

Kolejnym źródłem energii odnawialnej, które doskonale wpisuje się w potrzeby gospodarstw rolnych, szczególnie prowadzących produkcję zwierzęcą, są biogazownie. Są to instalacje, w których odpady organiczne, takie jak obornik, słoma czy resztki roślinne, ulegają procesowi fermentacji bez-tlenowej, w wyniku czego powstaje biogaz oraz poferment. Biogaz może być wykorzystywany do produkcji energii elektrycznej i ciepłej w gospodarstwie, z kolei poferment, czyli produkt uboczny procesu fermentacji, może służyć jako wysokiej jakości nawóz organiczny.

Gospodarstwa, które wdrażają rozwiązania OZE, zyskują nie tylko poprzez obniżenie kosztów funkcjonowania, lecz także na wizerunku jako liderzy nowo-



czesnego i odpowiedzialnego rolnictwa, co może zwiększyć ich rynekową konkurencyjność i być atutem w rozmowach z partnerami, kontrahentami czy bankami.

ZIELONA ENERGIA Z DOFINANSOWANIEM

Koszty instalacji urządzeń do wytwarzania zielonej energii mogą być znaczące, jednak istnieją programy wsparcia finansowego, które umożliwiają realizację takich projektów. Rolnicy mogą skorzystać z preferencyjnych kredytów, dotacji krajowych czy dofinansowania z budżetu unijnego.

Europejskie środki na inwestycje w gospodarstwach rolnych w zakresie OZE i poprawy efektywności energetycznej dostępne są w Planie Strategicznym dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027. Dofinansowanie można otrzymać na budowę biogazowni, zakup mikroinstalacji do wytwarzania energii z promieniowania słonecznego

czy termomodernizację budynków gospodarczych i wyposażenie ich w energooszczędne oświetlenie. Ten program wsparcia realizuje Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Po raz pierwszy uruchomiła go w 2024 r. Przyjętych zostało wówczas blisko 2,2 tys. wniosków. Najwięcej rolników ubiegało się o dofinansowanie zakupu mikroinstalacji – prawie 1,6 tys.

Kolejny nabór wniosków o wsparcie na inwestycje w OZE z PS WPR na lata 2023-2027 trwa. Dokumenty można składać w ARiMR do 19 listopada 2025 r. Kto i na jakich zasadach może aplikować o te środki?

SETKI TYSIĘCY DO WZIĘCIA

Pomoc finansowa realizowana jest w trzech obszarach inwestycyjnych:

- A** – budowa nowych biogazowni rolniczych;
- B** – zakup mikroinstalacji fotowoltaicznych i instalacji do wytwarzania energii

z promieniowania słonecznego wraz z magazynami energii i systemami zarządzania energią lub z pompą ciepła; **C** – inwestycje poprawiające efektywność energetyczną budynków gospodarskich, m.in.: budowa kotłowni na biomasę, docieplenie ścian czy podłóg, wymiana oświetlenia na energooszczędne w technologii LED.

Aby móc ubiegać się o dofinansowanie, trzeba spełnić określone warunki, m.in.: być rolnikiem – osobą fizyczną, prawną lub jednostką organizacyjną nieposiadającą osobowości prawnej bądź wspólnikiem spółki cywilnej prowadzącej działalność rolniczą; posiadać lub współposiadać z małżonkiem (o ile nie występuje rozdzielność majątkowa) gospodarstwo, które otrzymało jednolitą płatność obszarową lub podstawowe wsparcie dochodów w ramach PS WPR w roku złożenia wniosku lub roku poprzednim; przejść szkolenie z zakresu efektyw-

ności energetycznej w ciągu ostatnich 24 miesięcy lub złożyć zobowiązanie do jego odbycia przed złożeniem ostatniego wniosku o płatność.

Ważne jest również to, że realizacji inwestycji, na którą rolnik ubiega się o dofinansowanie, nie można rozpocząć przed złożeniem w ARiMR wniosku o pomoc, gdyż skutkować to będzie jego odrzuceniem.

Wsparcie ma formę refundacji, którą może zostać objętych do 65 proc. kosztów kwalifikowalnych inwestycji. Wysokość pomocy zależy od obszaru. Dla obszaru A jest to 1,5 mln zł, a dla obszarów B i C po 200 tys. zł. Co istotne, pomoc w ramach pewnych kategorii inwestycji można ze sobą łączyć, wówczas maksymalna wysokość wsparcia wynosi: obszary A i B – 1,5 mln zł; obszary A i C – 1,7 mln zł; obszary B i C – 400 tys. zł, obszary A, B i C – 1,7 mln zł.

Na inwestycje można uzyskać 50-proc. zaliczkę,

a minimalny koszt planowanych przedsięwzięć musi wynosić 20 tys. zł.

TYLKO ONLINE

Wnioski w ramach wszystkich naborów z PS WPR 2023-2027 Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa przyjmuje wyłącznie drogą internetową. A to oznacza, że również ubiegający się o wsparcie na inwestycje w gospodarstwach rolnych w zakresie OZE i poprawy efektywności energetycznej mogą składać dokumenty tylko za pośrednictwem Platformy Usług Elektronicznych ARiMR.



Zwolnieni za niską wydajność wygrali w sądzie. Dostaną nie tylko odprawy, ale i odszkodowania

Małgorzata Oberlan
malgorzata.oberlan@polskapress.pl

Zakład w Toruniu zwolnił z pracy grupę osób, rzekomo „niewydajnych”. Tymczasem był to tylko pretekst, by ukryć grupowe zwolnienie i nie płacić ludziom odpraw - uznał sąd pracy.

Ta historia pokazuje, jak łamanie praw pracowniczych może być kosztowne. Pracodawca ukrywający grupowe zwolnienie i zwalnijący ludzi w inny sposób (np. pod pretekstem niewydajności) początkowo jest „na plusie”, bo nie płaci zwalnianym odpraw. Gdy pokrzywdzeni jednak wygrają w sądzie, płacić musi pracownikom podwójnie: i odprawy, i odszkodowania.

Każdy zwolniony dostanie duże pieniądze

Tak stało się właśnie w przypadku pana P., przedsiębiorcy z Torunia, właściciela zakładu produkującego opakowania kartonowe dla mleczarni oraz

suchy lód. Wiosną br. zwolnił z pracy za rzekomą niską wydajność kilkanaście osób. Pięcioro z nich poszło do sądu pracy i wygrało.

Każdy z pokrzywdzonych pracowników, na mocy wyroku ogłoszonego przez sędziego Andrzeja Kurzycha, otrzymał ma od pracodawcy teraz po 27 996 zł wraz z ustawowymi odsetkami.

Skąd ta kwota? Każdemu pracownikowi toruński sąd przyznał odprawę należną w związku z rozwiązaniem umowy o pracę z przyczyn nie dotyczących pracownika (13 998 zł) oraz odszkodowanie za nieuzasadnione wypowiedzenie umowy o pracę przez pracodawcę (też 13 998 zł). A wszystko to wraz z odsetkami.

Pracodawca nie potrafił w żaden sposób udowodnić, że kontrolował wydajność swoich pracowników i że była ona za niska

Co się wydarzyło w zakładzie, który w trzech lokalizacjach produkuje opakowania kartonowe oraz suchy lód?

Niska wydajność była pretekstem

Oto ustalenia poczynione w IV Wydziale Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Rejonowego w Toruniu.

Przedsiębiorca od dłuższego czasu miał problemy finansowe. Dobijały go, m.in., rosnące ceny energii elektrycznej. Produkcję prowadził na starych, wyeksploatowanych maszynach. Zimą br. zaczął pracownikom wręczać wypowiedzenia umowy o pracę ze skutkiem po trzech miesiącach. Tracili pracę wiosną br.

Wśród 19 zwalnianych były osoby pracujące przy maszynach, zarabiające najniższą pensję krajową. Ogromnym szokiem było nie tylko zwolnienie, ale i podana przyczyna: „negatywny wynik kontroli wydajnościowej pracownika”.

Po pierwsze - dlatego, że dotąd przez lata pracy takich uwag nie słyszeli.



Zwolnieni pracownicy szukali sprawiedliwości w sądzie

Po drugie - i to najważniejsze - że żadnej kontroli ani nawet systemu oceniania wydajności w tym zakładzie nie było!

Pracownicy szybko się zorientowali, że szefostwo chyba chce ukryć zwolnienie grupowe z przyczyn leżących po stronie zakładu, ominąć konieczne przed tym konsultacje z przedstawicielami załogi, wymagane przepisami zgłoszenie

do Powiatowego Urzędu Pracy oraz wypłatę należnych w takiej sytuacji odpraw. Dlatego pięcioro z nich pozwało pracodawcę do sądu.

Przedsiębiorca nie potrafił przedstawić Temidzie żadnego dowodu na to, że kontrolował wydajność tych pracowników i że była ona za niska.

- Rzeczywistą przyczyną wypowiedzenia powodom

umów o pracę nie były problemy z wydajnością pracowników, lecz problemy ekonomiczne wynikające z przestarzałego parku maszynowego, rosnących kosztów produkcji, działań konkurencji oraz spadku zamówień - podkreślił sędzia Andrzej Kurzych.

To były uniki

Jak wskazał sąd, w ten sposób firma chciała ukryć zwolnienie grupowe i nie ponosić związanych z nim konsekwencji (wypłacenia odpraw). Co ciekawe, siły niektórych chciał dalej wykorzystywać, tylko tańszym kosztem - zaproponował im dalszą pracę, ale na podstawie tzw. umów śmieciowych (np. umów-zleceń). Liczba zwalnianych osób - 19 - w odniesieniu do ogółu zatrudnionych w tej firmie kwalifikowała zwolnienie jako grupowe.

Wyrok w tej sprawie wraz z uzasadnieniem opublikowany został 16 września br. w Portalu Ogłoszeń Sądowych (a ogłoszony był pod koniec lipca). Oznaczony został jako nieprawomocny. ©

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

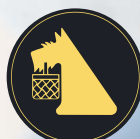
AUTOREKLAMA

0011424649



do kupienia
także
w sieci

Netto



Zasmakuj w Lubuskiem!

Odkryj nowe kulinarne ścieżki smaków
- wśród lasów i jezior
Lubuskie Ścieżki Kulinarne
- to smak natury, tradycji i pasji.

Zapraszamy!

Zarezerwuj
swój dzień
**W RYTMIE
LUBUSKIEGO**
- dziko, spokojnie,
smacznie.



naturapolska.eu/zasmakujwlubuskiem/

Interreg
Baltic Sea Region



Co-funded by
the European Union



RESILIENT ECONOMIES AND COMMUNITIES

BASCIL

KRÓTKO

PRZESTĘPCZOŚĆ

Poszukiwany mafioso zatrzymany

Policjanci z Warszawy zatrzymali 43-letniego obywatela Turcji, który łączony jest z wieloma zabójstwami, porwaniami oraz zbrojnymi atakami na osoby w Stambule. Poszukiwany był czerwona notą Interpolu.

Mężczyzna został zatrzymany przed restauracją w samym centrum Warszawy. W akcji brali udział kontrterrości. - W momencie zatrzymania policjanci znaleźli przy nim broń palną z wprowadzonym nabojem do komory naboowej oraz 26 sztuk

amunicji - przekazał mł. asp. Jakub Pacyniak ze śródmiejskiej policji.

43-latek usłyszał zarzuty za posiadanie broni palnej i amunicji bez wymaganego zezwolenia. Sąd przychylił się do wniosku prokuratury i zastrzegł wobec podejrzanego trzymiesięczny areszt.

Na trop groźnego gangstera, który przyjechał do stolicy, wpadli policjanci z Zespołu Poszukiwań Celowych Wydziału Poszukiwań i Identyfikacji Osób Komendy Stołecznej Policji. PAP

POLITYKA

Wniosek o delegalizację partii



FOT. ADAM JANKOWSKI

Karol Nawrocki złożył wniosek do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie delegalizacji Komunistycznej Partii Polski. Jak przekazała KPRP, prezydent uzasadnił wniosek odwoływaniem się partii do totalitarnych metod i praktyk działania komunizmu oraz założeniem stosowania przemocy w celu zdobycia władzy.

SPOŁECZEŃSTWO

Młodzieżowe Słowo Roku

Poznaliśmy listę 15 słów i zwrotów, które znalazły się w finale plebiscytu na Młodzieżowe Słowo Roku 2025. O tytuł powalczą takie określenia, jak: „6, 7”, „klasa”, „szponcic/szpont”, „lowkey”, „skibidi”, „tuff”, „brainrot”, „bro”, „fr”, „freaky”, „GOAT”, „szacun”, „OKPA”, „slay”, „twin”. Wyróżnienia zostały wyłonione spośród najczęściej zgła-

szanych przez internautów propozycji spełniających wszystkie kryteria regulaminowe. Na młodzieżowe słowo roku można głosować do 30 listopada. Wyniki jubileuszowej, dziesiątej edycji plebiscytu PWN poznamy w grudniu.

W 2024 roku wygrało słowo „sigma” - określające osobę odnoszącą sukcesy, wierną wyznaczonym zasadom.

WARSZAWA

Odnosząc się do sprawy przebywającego na Węgrzech posła PiS Zbigniewa Ziobry, któremu prokuratura chce ogłosić 26 zarzutów, Waldemar Żurek podkreślił, że do tej pory nie odnotowano przypadku, by osoba, wobec której prokuratura sformułowała poważne zarzuty i wniosek o tymczasowy areszt, była przesłuchiwana za granicą. - To jest sytuacja, która nie miała miejsca i myślę, że nie będzie miała miejsca - podkreślił minister sprawiedliwości.

”

To nie osoba podejrzewana decyduje o tym, gdzie może być przesłuchiwana

Waldemar Żurek, minister sprawiedliwości i prokurator generalny

Prezydent kontra rząd. To polityczna wojna totalna

Dorota Kowalska
Warszawa

Tylko w listopadzie prezydent zawetował cztery ustawy, nie podpisał nominacji sędziowskich i oficerskich, a to pewnie nie koniec, bo obóz rządzący szykuje się na konfrontację totalną.

Wojna między prezydentem a rządem przybiera na sile i nic nie wskazuje na to, żeby mogło dojść do rychłego rozejmu.

W środę Karol Nawrocki odmówił nominacji 46 sędziów. - Nie będę także dawał awansów tym sędziom, którzy kwestionują porządek konstytucyjno-prawny Rzeczypospolitej. Tym sędziom, którzy słuchają złych podszeptów ministra sprawiedliwości pana Waldemara Żurka - zaznaczył Nawrocki w specjalnym oświadczeniu.

Prezydent powołał się przy tym na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 2012 roku, które rozstrzyga o tym, że prezydent RP nominuje sędziów oraz ma możliwość odmówić ich nominacji.

Jak można się było spodziewać, decyzji prezydenta Nawrockiego przyklasnęli politycy Prawa i Sprawiedliwości, a krytykowali ją przedstawiciele obozu władzy.

- Karol Nawrocki w „najlepszej” odsłonie. Najpierw uderzył w bezpieczeństwo naszej ojczyzny, teraz wypowiedział wojnę polskiemu wymiarowi



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Minister Waldemar Żurek jest na pierwszej linii frontu w walce z prezydentem Karolem Nawrockim

sprawiedliwości. Odmowa nominacji sędziów na wyższe stanowiska sędziów to przede wszystkim uderzenie w prawo do sądu Polek i Polaków - skomentował Krzysztof Śmiszek. Michał Wypij stwierdził, że „prezydent Nawrocki przekroczył granicę między odpowiedzialnością a przemocą instytucjonalną”. - Władza, która używa prerogatyw do zastraszania, podcina gałąź, na której siedzi: zaufanie obywateli - podkreślił polityk.

- Sędziów, którym Nawrocki odmówił podpisu, należy delegować na wyższe stanowiska.

Ma do tego prawo minister sprawiedliwości - to z kolei Roman Giertych.

Do sprawy odniósł się także rzecznik rządu Adam Szłapka. - Samo oświadczenie pana prezydenta świadczy o takiej próbie uzurpacji uprawnień. Sędziowie mają prawo do tego, i są na to orzeczenia zarówno polskich sądów, jak i sądów europejskich, żeby w formie orzeczenia kwestionować status innych sędziów - powiedział.

Szłapka fodał, że „to, co powiedział pan prezydent w swoim oświadczeniu, de facto jest próbą zakwestionowania

konstytucyjnych zasad niezawisłości sędziów i niezależności sądów”.

Wczoraj, na specjalnie zwołanej konferencji prasowej, minister sprawiedliwości Waldemar Żurek stwierdził, że „tego typu podejście do procesu nominacji jest łamaniem polskiej konstytucji”.

Jak poinformował, lista „odrzuconych” sędziów była poprzedzona jedynie jednoznacznym stwierdzeniem: „Odmawiam nominacji niższej wskazanym osobom”, bez jakiegokolwiek argumentacji.

Żurek ujawnił, że według jego wiedzy prezydent odmówił nominacji sędziom, którzy wcześniej podpisali dwa rodzaje listów: protest przeciwko tzw. wyborom kopertowym oraz apel o wykonanie wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej dotyczących Izby Dyscyplinarnej. - Mogę powiedzieć, że stosowanie takiego pomysłu, który miał kiedyś Król Słońce, który mówił: „Państwo to ja” w polskim systemie prawnym jest niedopuszczalne - ocenił Żurek.

Według ministra decyzja prezydenta jest nie tylko błędem politycznym, ale i prawnym. Konstytucjonaliści - jak zaznaczył - wskazują, że prezydent może odmówić nominacji jedynie w wyjątkowych przypadkach, np. gdy w trakcie procedury pojawiają się nowe okoliczności, jak postępowanie karno wobec kandydata.

„Sejm bez barier”. Szymon Hołownia po dwóch latach kończy pełnić urząd marszałka Sejmu

oprac. Anna Nagel
Warszawa

Sejm opublikował raport „Sejm bez barier”, podsumowujący dwa lata sprawowania urzędu przez Szymona Hołownię. Zgodnie z umową koalicyjną czas na zmianę marszałka.

W podsumowaniu dwóch lat swojej pracy marszałek Hołownia wskazał, że symbolem początku nowej kadencji Sejmu

było „spontaniczne usunięcie przez obywatelki i obywateli policyjnych barierek sprzed gmachu Sejmu”. Jak podkreślił, wypracowane zostały nowe możliwości odwiedzania Sejmu, przywrócono też możliwość zapisu na indywidualną wycieczkę po gmachu przy Wiejskiej, z której skorzystało niemal 20 tysięcy osób. Jak podał, od początku kadencji Sejm odwiedziło ponad 8 tysięcy grup i ponad 313 tysięcy zwiedzających.

Marszałek Hołownia podkreślił też, że dotrzymał obietnicy zlikwidowania tzw. sejmowej zamrażarki. - Przez pierwsze dwa lata tej kadencji do pierwszego czytania na plenarnym posiedzeniu Sejmu skierowałem 38 projektów ustaw złożonych przez kluby opozycyjne. Do „zamrażarki” nie chowałem także inicjatyw prezydenckich. Dla porównania: w ciągu całej poprzedniej kadencji ugrupowania opozycyjne mogły zaprezentować swoje projekty w Izbie zaledwie

ośmiokrotnie - zauważył Hołownia.

Poinformował, że Sejm obradujący pod jego przewodnictwem uchwalił do końca października 2025 roku 337 ustaw. Dodał, że aż 7 procent ustaw uchwalonych przez obecny parlament nie weszło w życie na skutek decyzji prezydenta RP.

19 listopada Sejm wybierze marszałka. Zgodnie z umową koalicyjną ma nim zostać Włodzisław Czarzasty, współprzewodniczący Nowej Lewicy. PAP

Schemat Szlaban. Afera korupcyjna zaszkodzi Ukrainie i Zełenskiemu

Grzegorz Kuczyński
Kijów

Ukraina jest w szoku po tym, jak ujawniono aferę korupcyjną, w którą zamieszani są wysocy rangą urzędnicy i biznesmeni z obozu prezydenckiego.

Na początku tego tygodnia ukraińskie organy antykorupcyjne poinformowały o zdemaskowaniu „organizacji przestępczej na wysokim poziomie”, która działała w sektorze energetycznym kraju. Podejrzani – biznesmeni, menedżerowie i urzędnicy – brali miliony dolarów „prowizji” od kontraktów zewnętrznych podmiotów z Enerhoatomem. Później pieniądze były prane przez „biuro księgowe” znajdujące się w lokalu należącym do rodziny byłego ukraińskiego deputowanego, który zdradził, i dziś zasiada w rosyjskim parlamencie.

W Narodowym Biurze Antykorupcyjnym (NABU) twier-



Minister energetyki Ukrainy Switłana Hrynczuk podała się w środę do dymisji w związku z aferą korupcyjną w państwowym operatorze elektrowni jądrowych

dzą, że w trakcie czynności śledczych „w różnych sytuacjach” „zarejestrowano” czterech członków ukraińskiego rządu. Jednak chyba najważniejsze jest to, że jako szefa zdemaskowanej grupy NABU wskazuje biznesmena Timura

Mindicza – przyjaciela prezydenta Wołodymyra Zełenskiego.

Schemat Szlaban

Według prokuratorów Mindicz ze współnikami, Ołeksandrem Cukermanem, stworzyli

system, który pozwalał otrzymywać „prowizję” od transakcji dokonywanych przez Enerhoatom – państwowego operatora wszystkich ukraińskich elektrowni atomowych. Jak działał schemat nazwany Szlabanem?

Kontrahent Enerhoatomu wykonywał jakieś prace w elektrowniach lub dostarczał jakieś towary na ich potrzeby. Następnie miał otrzymać zapłatę. Jednak w rzeczywistości pieniądze były wypłacane dopiero po tym, jak grupa Mindicza otrzymała od tego kontrahenta łapówkę w wysokości 10-15 proc. kwoty kontraktu. Kontrahenci praktycznie nie mieli możliwości odmowy przekazania „prowizji” – w takim przypadku po prostu nie otrzymaliby pieniędzy. Do niedawna Enerhoatom znajdował się bowiem na liście przedsiębiorstw, od których nie można sądownie ściągać należności w czasie wojny.

Legalizacją środków uzyskanych w ten sposób – ich roz-

liczaniem i praniem przez sieć spółek nierezydentów – zajmowało się biuro zlokalizowane w centrum Kijowa. Łącznie przez tzw. pralnię przeszło około 100 milionów dolarów. Lokal należy do rodziny Andrija Derkacza, byłego deputowanego ukraińskiego parlamentu, który w 2022 roku zbiegł do Rosji. W zeszłym roku Derkacz został senatorem w Rosji.

Operacja Midas

Mindicz i Cukerman zdołali uciec przed poniedziałkową akcją NABU – ktoś ich ostrzegł i umożliwił wyjazd z kraju. Inni zamieszani w aferę ludzie zostali albo zatrzymani, albo są podejrzani. W związku ze sprawą doszło już do dymisji w rządzie. NABU poinformowało, że śledztwo rozpoczęło się 15 miesięcy temu i w jego ramach operacyjnie zgromadzono około 1000 godzin nagrań audio, które ujawniły skalę oszustwa. Wśród podejrzanych znajdują się osoby z najwyższych

szczebli rządu, skupione wokół długoletniego bliskiego współpracownika Zełenskiego. Co gorsza, śledztwo zostało przeprowadzone przez instytucje antykorupcyjne, których niezależność Zełenski kilka miesięcy temu próbował niszczyć, co wywołało największe od 2022 roku protesty uliczne w Ukrainie. Krytycy pomocy ogarniętemu wojną krajowi zyskali właśnie potężny argument. Zachodnie rządy zapewniające Kijowowi wsparcie militarne i gospodarcze muszą uzasadniać to przed swoimi wyborcami, a ten skandal nie ułatwi zadania. Stawką jest zaufanie społeczeństwa, armii i partnerów międzynarodowych. Żadne rozwiązanie rady nadzorczej, skazanie kilku osób i nowe audyty nie naprawią szkód. Bez naprawdy radykalnych kroków ta afra może stać się punktem zwrotnym w prezydenturze Zełenskiego.

©P

Łukoil idzie na dno. Amerykańskie sankcje mogą zatopić wielki rosyjski koncern naftowy

Grzegorz Kuczyński
Moskwa

Akcje Łukoilu nadal gwałtownie tracą na wartości na moskiewskiej giełdzie. To efekt sankcji USA i nieudanej transakcji sprzedaży zagranicznych aktywów spółki.

W środę podczas sesji giełdowej akcje Łukoilu spadły do 4900 rubli za jedną – do najniższego poziomu od dwóch i pół roku. W ciągu dnia notowania spółki spadły o 4,6%, od początku tygo-

dnia o 7,4%, a od 23 października, kiedy wprowadzono amerykańskie sankcje, o 18,6%. W rezultacie kapitalizacja rynkowa największej prywatnej spółki naftowej w Rosji spadła o 777 mld rubli, czyli 9Działający w 11 krajach świata Łukoil stanął w obliczu niemal całkowitego paraliżu na rynkach zagranicznych. W Iraku nie może uzyskać ani pieniędzy, ani ropy za wydobycie ze złoża „Zachodnia Kurna-2”, w Finlandii sieć stacji benzynowych Teboil, należąca do firmy, pozostała bez paliwa, a szwajcarska spółka Litasco, będąca od-

działem handlowym Łukoilu, nie może frachtować tankowców i dokonywać płatności. Indyjskie i chińskie rafinerie odmawiają przyjmowania ropy Łukoilu.

Próba sprzedaży tych aktywów szwajcarskiej firmie Gunvor została zablokowana przez Departament Skarbu USA. Teraz w Łukoilu przygotowują się na to, że cała zagraniczna własność o wartości 16 miliardów dolarów zostanie po prostu utracona – powiedziało „Financial Times” źródło zaznajomione z sytuacją.

Z powodu sankcji aktywa firmy mogą nawet zostać skonfi-

skowane przez rządy krajów, które przyłączyły się do sankcji USA, podobnie jak Niemcy faktycznie skonfiskowały aktywa Rosnieftu na swoim terytorium.

W rezultacie Łukoil może stracić 15-17% całej produkcji węglowodorów; za granicą wydobywa 6,5% ropy naftowej i prawie połowę gazu – szacują analitycy Alfa-Banku. Zagraniczne rafinerie, które zaopatrują się 5 tysięcy stacji benzynowych, zapewniają Łukoilowi jedną czwartą całkowitej wielkości przerobu ropy naftowej. Utrata zagranicznych aktywów „może

mieć znaczący wpływ na wyniki finansowe Łukoilu” – ostrzega Alfa-Bank.

Według szacunków źródła Politico, byłego menedżera najwyższego szczebla Łukoilu, utrata zagranicznych aktywów pozbawi firmę jednej trzeciej przychodów. W 2024 roku osiągnęły one rekordowy poziom 8,4 bln rubli, z czego ponad 1 bln Łukoil wypłacił akcjonariuszom.

Licencja wydana przez Departament Skarbu USA na zakończenie transakcji z Łukoilem wygasa 21 listopada. Do tego dnia firma musi pozbyć się zagranicz-

nych aktywów. Sprzedaż wszystkich aktywów w tak krótkim czasie jest nierealna – zauważa Dmitrij Kasatkin, partner zarządzający Kasatkin Consulting; zwykle termin na sprzedaż takich aktywów wynosi 6-12 miesięcy. Jeśli egzekwowanie sankcji będzie ściśle kontrolowane przez administrację USA, Łukoil prawdopodobnie będzie musiał zostać uratowany przez państwo – nie wyklucza Tatiana Mitrowa, pracownik naukowy Centrum Globalnej Polityki Energetycznej Uniwersytetu Columbia.

©P

Jesień

to dobry czas na odkrywanie

- Podróż po miastach
- Smaki kulinarne regionu
- Weekend w SPA i termach
- Aktywny wypoczynek
- Jeszcze jedna historia

0011430402

Kształtują wiedzę, ale też charakter, marzenia i odwagę

Katarzyna Adamczyk
katarzyna.adamczyk@polskapress.pl

W Plebiscybie Edukacyjnym 2025 wyróżniamy tych, którzy nie tylko uczą, lecz także inspirują. Tych, którzy potrafią w uczniach rozbudzić pasję, ciekawość świata i wiarę w siebie.

Uczestnicy wielkiego Plebiscytu Edukacyjnego 2025 to ludzie, dla których szkolne sale są miejscem spotkań, roz-

mowy i odkrywania talentów, a nie tylko przekazywania materiału. Każda z osób nominowanych w tej akcji ma swoją własną, wspaniałą historię do opowiedzenia. Historii o uczniach, chwilach wzruszenia. O pracy, która staje się częścią życia - misją i powołaniem, a nie tylko zawodem. Dzięki takim właśnie osobom - które dziś możecie bliżej poznać z naszej publikacji - szkoła jawi się nie tylko jako instytucja, ale również prze-

strzeń, w której rodzą się przyszłe pokolenia - pełne odwagi, empatii i ambicji.

To oni kształtują nie tylko ich wiedzę, ale też charakter, marzenia i odwagę, by sięgać po więcej. Ci z nas, którzy już dawno pokończyli swoje szkoły, wiedzą, że właśnie tacy nauczyciele, pedagodzy zostają w pamięci na całe życie. A jak oni widzą swoją pracę? Tego możemy dowiedzieć się właśnie z rozmów z nimi. Mówią, że praca na-

uczyciela to codzienność pełna emocji, odpowiedzialności i chwil, które zostają także w ich sercach na zawsze. Bo przecież każda lekcja to nie tylko przekazywanie wiedzy, ale też spotkanie z człowiekiem, który dorasta na ich oczach. Wspieranie w tym procesie wymaga nie tylko cierpliwości i zaangażowania, ale także wiary w sens tego, co się robi, zasiewa - bo przecież czasami efekty, plony widać dopiero po latach...

Ta praca daje Jej poczucie dokładania małej cegiełki do przyszłości

Najwięcej satysfakcji daje Jej moment, kiedy w oczach dziecka pojawia się błysk odkrycia. Radość i uśmiech przynoszą przytulasy, zaskakujące pytania i ta niekończąca się energia, którą podziwia.

- Praca w oświacie daje mi poczucie dokładania małej cegiełki do przyszłości. Pomagam dzieciom stawiać pierwsze kroki w świecie wartości, relacji i samodzielności - opowiada Marta Józwiak (Przedszkole Miejskie nr 11 z Oddziałami Integracyjnymi Tęcza, Świnoujście). Wychowy-



wała się pod skrzydłami nauczycielki z powołania - Jej kochanej mamy. - Przy niej zaczęłam rozumieć, że ta praca to coś więcej niż zawód. Swoją drogę rozpoczęłam jako nauczyciel plastyki w szkole podstawowej i gimnazjum, poszukując miejsca, w którym najlepiej będę się mogła realizować. Z czasem odkryłam, że to właśnie praca w przedszkolu jest moją prawdziwą drogą - miejscem, które daje mi największą radość, satysfakcji i możliwości twórczego działania - wspomina wspaniała uczestniczka Plebiscytu Edukacyjnego.

Czasem potrzeba chwili, by dojrzewały i umiejętności, i cele

Praca w oświacie to dla Niej więcej niż zawód - to pasja. Ma ogromną satysfakcję z pomagania dzieciom z niepełnosprawnością i wspierania ich rodzin w procesie rozwoju i edukacji

Joanna Kujawa (Niepubliczne Przedszkole Montessori z oddziałami integracyjnymi i specjalnymi, Cychry) decyzję o wyborze tej ścieżki zawodowej podjęła pod wpływem osobistych doświadczeń - wychowuje już nastolatków w spektrum autyzmu. - To właśnie



one zainspirowały mnie do pogłębiania wiedzy i zaangażowania w pracę na rzecz osób z niepełnosprawnościami rozwojowymi - tłumaczy. Najwięcej satysfakcji daje Jej moment, gdy dzieci przestają przejawiać trudne zachowania, a zaczynają się komunikować. Gdy widzi, że ich rodziny wreszcie mogą porozumieć się z nimi, odczuwa ogromną radość. Najbardziej zapadają w pamięć chwile, gdy rozpacz i bezsilność rodziców ustępują miejsca wzruszeniu i szczęściu, gdy dzieci robią swoje małe i wielkie postępy.

Aby być dla maluchów najlepszym wsparciem i przewodnikiem

Anna Dzierżba (Bajkowe Przedszkole Miejskie, Chojna) od kilku lat z pełnym zaangażowaniem pracuje jako nauczyciel przedszkola. To nie jest dla Niej tylko zawód.

To dla Niej pasja, którą realizuje każdego dnia, towarzysząc swoim przedszkolakom w ich pierwszych krokach w poznawaniu świata. Jej praca opiera się na głębokim przekonaniu, że nauczanie i opieka nad małymi dziećmi są misją. Uwielbia obserwować ich ciekawość, wspierać ich rozwój i pomagać



im odkrywać otoczenie w bezpieczny i radosny sposób. Każdy uśmiech, każde nowe odkrycie i osiągnięcie Jej maluszków są dla Niej największą nagrodą i motywacją. Jej kwalifikacje opierają się na solidnej wiedzy, które wzbogaciła dyplomem z zakresu oligofrenopedagogiki. To wykształcenie dało Jej specjalistyczne narzędzia do pracy z różnorodnymi potrzebami rozwojowymi dzieci, co pozwala Jej na indywidualne i efektywne podejście do każdego przedszkolaka. Nie zamierza na tym poprzestać!

LIDERZY RANKINGÓW

Oto lista nauczycieli, którzy od początku głosowania do czwartku, do godz. 10 zdobyli najwięcej głosów wśród liderów z powiatów oraz lista liderów głosowania na dyrektorów, nauczycieli akademickich, psychologów i pedagogów szkolnych oraz placówki edukacyjne.

NAUCZYCIEL PRZEDSZKOLA

1. Aleksandra Wiśniewska, Przedszkole Publiczne nr 75, Szczecin
2. Karolina Kępińska, Żłobek i Przedszkole Zaczarowany Domek, Koszalin
3. Anna Dzierżba, Bajkowe Przedszkole Miejskie, Chojna
4. Ilona Dudkiewicz, Przedszkole Publiczne, Czaplinek
5. Małgorzata Ram, Przedszkole Wesołe Smyki, Goleniów

NAUCZYCIEL KLAS O-III

1. Joanna Winniak, Szkoła Podstawowa, Broczyno
2. Mirela Biesiada, Szkoła Podstawowa, Parsęko
3. Konrad Szczepański, Szkoła z Pasją Niepubliczna Szkoła Podstawowa, Szczecin
4. Katarzyna Baran, Szkoła Podstawowa im. Ludzi Morza, Mścice
5. Angelika Okusko, Szkoła Podstawowa im. Adama Mickiewicza, Rąbino

NAUCZYCIEL KLAS IV-VIII

1. Monika Bencych, Niepubliczna Szkoła Podstawowa Da Vinci, Koszalin
2. Jarosław Teresiński, Publiczna Szkoła Podstawowa im. K.I. Gałczyńskiego, Dobra
3. Ewelina Zalewska-Szczepanek, Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II, Grzędzice
4. Dawid Trejnis, Szkoła Podstawowa, Stary Chwalim
5. Magdalena Dziwura, Szkoła Podstawowa nr 68 z Oddziałem Przedszkolnym im. 12 Pułku Ułanów Podolskich, Szczecin

NAUCZYCIEL SZKOŁY PONADPODSTAWOWEJ

1. Agnieszka Myszkowska-Krauze, Zespół Szkół nr 8, Koszalin
2. Anna Woszczyńska, Prywatne Liceum Ogólnokształcące Leonardo SVS, Szczecin
3. Daria Grzyb, Liceum Ogólnokształcące im. Bogusława X, Białogard
4. Renata Komorowska, Powiatowe Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego, Wałcz
5. Elżbieta Dworzeńska, Zespół Szkół Ponadpodstawowych, Gryfino

NAUCZYCIEL AKADEMICKI

1. Dominika Kot, Wyższa Szkoła Bezpieczeństwa, Koszalin
2. dr inż. Adrian Augustyniak, Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny, Szczecin
3. dr Monika Śpiewak-Szyjka, Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny, Szczecin

DYREKTOR PLACÓWKI EDUKACYJNEJ

1. Anna Frost-Rutkowska, Niepubliczna Szkoła Podstawowa Specjalna nr 1, Radowo Wielkie
2. Wiesława Stadnik, NASZA SZKOŁA - Społeczna Szkoła Podstawowa, Koszalin
3. Beata Zapalska, Szkoła Podstawowa nr 1 im. Marii Skłodowskiej - Curie, Łobez

PSYCHOLOG LUB PEDAGOG SZKOLNY

1. Aneta Jarocka, Szkoła Podstawowa nr 2 im. Leonida Teligi, Kamień Pomorski
2. Magda Pyfel, Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy nr 1 dla Dzieci Niepełnosprawnych Ruchowo im. Marii Grzegorzewskiej, Police
3. Nina Szabat, Szkoła Podstawowa, Wysoka Kamieńska

PRZEDSZKOLE ROKU

1. GAMA Kids, Kołobrzeg, Tymiankowa 3
2. Przedszkole nr 3, Gryfice, Pomorska 14D
3. Przedszkole Niepubliczne Tygrysek, Świnoujście, Bohaterów Września 71-72

SZKOŁA ROKU

1. Zespół Szkół nr 6 im. Stanisława Staszcza, Szczecinek, Staszcza 15
2. Szkoła Podstawowa im. Eugeniusza Tworka, Dargosław 32
3. Zespół Szkół, Czaplinek, Grunwaldzka 1

SZKOŁA JĘZYKOWA ROKU

1. Linguistic Atelier by Martyna Halajda, Dobra, Przytulna 1A
2. BRITISH WORD - Studio Języka Angielskiego, Koszalin, 1 Maja 22/A3
3. Learning Center, Koszalin, Zwycięstwa 121

Sprawdź aktualne wyniki i głosuj na:
www.gs24.pl/nauczyciel

REGIONALNY PARTNER GŁÓWNY



tygodnik **Regionów**

Piątek, 14.11.2025

UDZIE Z PASJĄ

West Side Dogz Flyball Team ze Szczecina szuka dobrego miejsca do treningów

str. 12

ROZMOWA

Jeszcze wszyscy będziemy się wstydzić - mówi jedyny skazany za katastrofę „Heweliusza”

str. 14-16



FOT. MACIEJ ŚWIATŁOWSKI

Świat mu się przekręcił o 180 stopni, ale jeszcze wróci na siłownię

Motto Macieja Światłowskiego: Nigdy się nie poddawajcie, bo macie tylko jedno życie i nigdy na nic nie jest za późno. Realizujcie marzenia i pokonujcie przeszkody, jakie rzuca wam życie **str. 17**

Kto przytuli psy i ich trenerów? Potrzebna hala do treningów

Bogna Skarul
Szczecin

Od trzech lat z pasją trenują psy we flyballu - jedynym na świecie drużynowym sporcie kynologicznym. W 2025 roku po raz pierwszy odnieśli spektakularne sukcesy, dwukrotnie pobili rekord drużyny i zdobyli tytuły „Pies zawodów”. Ale dziś stanęli przed poważnym problemem - nie mają gdzie trenować. A bez regularnych ćwiczeń trudno utrzymać formę, na którą pracowali latami.

- To miejsce na treningi jest dla nas szalenie ważne - mówi Barbara Tereszko, jedna z założycielek i zawodniczek West Side Dogz Flyball Team, jedynej drużyny flyballu w województwie zachodniopomorskim. - Szczególnie w okresie jesienno-zimowym. Od maja zaczyna się sezon zawodów, więc teraz jest najlepszy czas, by spokojnie ćwiczyć. To teraz buduje się formę, której nie da się nadrobić w ostatniej chwili.

Do tej pory szczecińska drużyna trenowała na parkingu Centrum Handlowego Turzyn. - Współpraca z CH Turzyn układała się świetnie - przyznaje Basia. - Ale w tym roku pojawiło się ryzyko, że nie będziemy mogli tam prowadzić treningów, bo parking czasami może być niedostępny. Potrzebujemy czegoś pewniejszego i bardziej stabilnego.

Dlatego członkowie drużyny rozsyłają apele o pomoc. Potrzebują zadaszzonego miejsca o wymiarach co najmniej 10 na 40 metrów. Ma to być pomieszczenie z równym podłożem, najlepiej osłonięte od wiatru i deszczu.

- Może to być parking podziemny, magazyn, a nawet przesterzeń po hali produkcyjnej - wylicza Basia. - Trenujemy na specjalnych matach. Te maty wystawiamy po to, aby psy nie ścierały sobie łap, a przy okazji nie niszczyły się podłogi. Nie ma więc ryzyka, że coś zostanie zniszczone. Potrzebujemy tylko przestrzeni i zgody, by móc się ruszać.

Szybkość, precyzja i współpraca - to flyball

Flyball to sport, który wymaga od psa i przewodnika ogromnego zaufania i skupienia. To wysiłek psich sztafet,



West Side Dogz Flyball Team ze Szczecina to jedyna drużyna w województwie zachodniopomorskim

w którym każda drużyna składa się z czterech zawodników (psów) i ich przewodników.

- Zadanie psa jest pozornie proste - tłumaczy Basia. - Przebiec przez cztery przeszkody, uruchomić boks wyrzucający piłkę, złapać ją i wrócić przez te same przeszkody. Ale tu liczy się wszystko: tempo, technika, rytm, moment odbicia i synchronizacja całego zespołu.

Wygrywa drużyna, która zrobi to najszybciej i bez błędów.

- Cały bieg trwa kilka sekund. Psy biegną z prędkością nawet 40 km/h! To emocje, które trudno porównać z cymkolwiek innym - mówi Barbara z uśmiechem.

Rekord West Side Dogz to 19,79 sekundy.

- Brakuje nam 5,24 sekundy do rekordu Polski - dodaje z dumą. - Dla kogoś z zewnątrz to może wydawać się dużo, ale w tym sporcie każda setna sekundy ma znaczenie. My dopiero zaczęliśmy - nasza drużyna powstała przecież w 2022 roku!

Jedyni w Zachodniopomorskiem

West Side Dogz Flyball Team to pierwsza i jedyna drużyna flyballowa w regionie. W całej Polsce działa ich zaledwie kilkanaście.

- W 2024 roku zadebiutowaliśmy na zawodach - wspomina Basia. - Nie wszystko poszło idealnie, ale zdobyliśmy doświadczenie. A w 2025 roku przyszły

sukcesy - dwa razy pobiliśmy nasz rekord i zdobyliśmy dwa tytuły „Pies zawodów”.

To nie lada osiągnięcie, bo drużyna składa się wyłącznie z amatorów. Na co dzień jej członkowie pracują zawodowo, a flyball trenują po godzinach. Średnia wieku w zespole to 35 lat.

- Każdy z nas ma normalne życie, pracę, rodzinę - mówi Basia. - Ale flyball to nasza pasja. Dla wielu to też sposób na odpoczynek od codzienności.

W tej chwili drużyna liczy 19 osób i 15 psów. Większość treningów odbywa się wieczorami i w weekendy.

- Całą działalność finansujemy sami - dodaje Barbara. - Sprzęt, wyjazdy na zawody, transport, fizjoterapia psów - wszystko z własnej kieszeni. Ale to dla nas ważne, bo widzimy, jak te psy się rozwijają.

Trenerka z sercem i cierpliwością

Za przygotowanie drużyny odpowiada Justyna Wojda, doświadczona trenerka flyballu.

- Treningi zaczynamy od podstaw - tłumaczy Justyna. - Najpierw pies oswaja się z obecnością przeszkód. Potem stopniowo uczymy go pokonywania toru. Wbrew pozorom to bardzo precyzyjny sport. Każdy ruch musi być wyćwiczony.

Najtrudniejszy moment to ten, gdy na torze pojawia się inny pies.

- Dla wielu psów to ogromne wyzwanie - przyznaje

trenerka. - Bo pies musi nauczyć się ignorować emocje, zapachy i odgłosy. Skupić się wyłącznie na zadaniu i swoim przewodniku. To wymaga czasu i cierpliwości.

Treningi trwają zwykle od dwóch do czterech godzin, w małych grupach.

- Każdy pies ma inne tempo nauki, inny charakter, inną motywację - mówi Justyna. - Dlatego trzeba dopasować metody indywidualnie. Nie ma jednego przepisu. Czasem plan treningu trzeba wywrócić do góry nogami, bo pies ma gorszy dzień. I to jest w porządku.

Jakich metod używamy na treningach?

- Takich, które działają na konkretne psy - mówi trenerka. - Przede wszystkim chwalimy i nagradzamy nawet najmniejsze osiągnięcia. Każde zadanie kończymy sukcesem dla psa - jego wygraną. Dzięki temu psy rozwijają się z radością i motywacją.

Opowiada, że zaczynają od bardzo prostych rzeczy, np. od przyzwyczajania psa do obecności przeszkód.

- Nie, pies nie musi od razu przez nie przeskakiwać - najpierw biega obok i bawi się ze swoim opiekunem - tłumaczy Justyna.

Utrudnienia wprowadzane są stopniowo, tylko wtedy, gdy pies jest już na nie gotowy. Ale najtrudniejszym etapem dla wielu psów jest pojawienie się innych psów na torze obok.

- Dlatego wprowadzamy ten element ostrożnie i dopiero

wtedy, kiedy pies chętnie wykonuje podstawowe zadania - dodaje.

Przygotowanie psa do startu w zawodach to długi, ale fascynujący proces.

Zdrowie psów pod opieką specjalistki

O bezpieczeństwo psów dba Monika Augustyn, zoofizjoterapeutka, która regularnie współpracuje z drużyną.

- Flyball to sport dynamiczny, więc ryzyko kontuzji istnieje - tłumaczy. - Dlatego przed i po treningach psy przechodzą rozgrzewkę, masaż i stretching. To nie są przypadkowe ćwiczenia - mają chronić mięśnie i stawy.

Monika zwraca też uwagę na indywidualne predyspozycje czworonogów.

- W drużynie są psy różnych ras, od border collie po kundelki. Każdy z nich ma inne możliwości, inną motywację. Najważniejsze, by psy czerpały z tego radość. One naprawdę lubią tę rywalizację - mówi z uśmiechem.

Nie tylko sport, ale i styl życia

Choć na zawodach dają z siebie wszystko, po treningach to zwykle, kochane kanapowce. - Różnią się od innych psów tylko tym, że częściej odwiedzają fizjoterapeutę i chodzą na psi fitness - śmieje się Basia. - Ale wciąż to te same psy, które uwielbiają spacerować po lesie, zabawy z dziećmi i drzemki na kanapie.

Dla wielu członków drużyny flyball to coś więcej niż sport. To społeczność i przyjaźń, które trwają poza boiskiem.

- Poznaliśmy się dzięki psom i zostaliśmy przyjaciółmi - mówi Basia. - To daje ogromną energię. Nawet gdy coś się nie udaje, wspieramy się nawzajem.

Zaczął się w Kalifornii, dotarło do Szczecina

Początki flyballu sięgają lat 70. XX wieku. W Kalifornii trener psów Herbert Wagner połączył elementy aportowania z przeszkodami i specjalną wyrzutnią piłek. W 1978 roku sport został po raz pierwszy pokazany w programie Johnny'ego Carsona i szybko zdobył popularność.

W 1983 roku powstała North American Flyball Association (NAFA), która do dziś reguluje zasady dyscypliny.

Do Europy flyball dotarł w latach 90., a do Polski na początku XXI wieku.

Pierwsze drużyny powstały w Warszawie, Wrocławiu i Poznaniu, a w 2010 roku odbyły się pierwsze mistrzostwa Polski. Dziś działa kilkanaście aktywnych drużyn, a flyball jest oficjalnie uznany przez Związek Kynologiczny w Polsce i organizacje sportowe.

Apel do szczecinian: pomóżcie nam trenować

Drużyna West Side Dogz nie traci nadziei.

- Kochamy to, co robimy. Chcemy dalej reprezentować Szczecin na zawodach w całej Polsce - mówi Barbara Tereszko. - Ale żeby się rozwijać, potrzebujemy miejsca do treningów. Szukamy dachu nad głową - dosłownie.

Każdy, kto ma lub zna właściciela przestrzeni, która mogłaby posłużyć jako hala treningowa, może pomóc.

- Nie prosimy o pieniądze, tylko o przestrzeń i zrozumienie - podkreśla Basia. - Chcemy trenować bezpiecznie, regularnie i z szacunkiem do miejsca, które ktoś nam udostępni.

Szczecińska drużyna flyballu pokazuje, że pasja i współpraca między ludźmi i psami potrafią stworzyć coś wyjątkowego. Teraz potrzebują tylko jednego - dachu, pod którym ta pasja będzie mogła dalej rosnąć.

©



LOTERIA

WYKLARUJ SOBIE KUCHNIĘ MARZEŃ!



nagroda główna

20 000

na Twoją
wymarzoną
kuchnię
zł

nagrody tygodniowe



x1
robot
KitchenAid

10x
na kuchenne
dodatki

300 zł

1

Kup dowolne **Masło
Klarowane Mlekovita**
i zachowaj dowód zakupu.

2

Wypełnij formularz
zgłoszeniowy na
www.loteriaklarowane.pl

3

Twoje zgłoszenie **weźmie
udział w losowaniu nagród
tygodniowych i głównej!**

Sprzedaż promocyjna i przyjmowanie zgłoszeń: 01.10.2025 - 31.01.2026 r. Loteria promocyjna dla osób powyżej 18 roku życia.
Organizator: First Line Polska sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie. Regulamin loterii: loteriaklarowane.pl

Jeszcze wszyscy będziemy się wstydzili - mówi jedyny skazany za katastrofę „Heweliusza”

Marek Sterlingow
Rozmowa

Marek Błuś był marynarzem na „Sółdku”, potem kapitanem i ekspertem od katastrof morskich. Po latach został dziennikarzem i jako pierwszy publicznie podważył oficjalną wersję wypadku promu „Jan Heweliusz”. Został za to skazany. Po latach docenił go Netflix.

Kiedy postanowił pan zostać marynarzem?

Miałem sześć lat. Dzieciństwo spędziłem w Szczecinie. Widok statków - zwłaszcza łodolamaczy stojących przy Wałach Chrobrego - robił na mnie ogromne wrażenie. Czekaliśmy na zamrożenie zalewu, gotowe do akcji. Jeździłem tam z ojcem tramwajem. Do tego łódki z kory, które robiliśmy z ojcem. Tata wówczas żeglował. Umiał wszystko zrobić - dorabiał metalowe kile z puszek, żagle, tłumaczył zasady stateczności. Tak zaczęła się moja fascynacja morzem.

Kiedy pan ją ukończył - szkołę morską?

W 1970 roku.

Slogan tamtych czasów: żeby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej.

Zaczynała się epoka Edwarda Gierka. Lata 70. były dobrym czasem także dla naszej żeglugi. Choć rozpoczynała się już rewolucja kontenerowa. Kontenery wypierały tradycyjne statki drobnicowe.

W Polsce długo tego nie rozumiano. Na zajęciach w szkole mówiono nam, że to „ślepa uliczka”. Dawniej statek potrafił stać w porcie dwa tygodnie, robotnicy wybierali węgiel łopatami, a marynarze zwiedzali miasta i bary. To się właśnie kończyło. Kontenery, taśmowce, wielkie dźwigi do masówki - to wszystko radykalnie podniosło sprawność portów.

Pamięta pan swój pierwszy rejs?

Dostałem dość osobliwy przydział. Na jeden miesiąc trafiłem na „Sółdkę”.

Tego historycznego „Sółdka”? Pierwszy statek zbudowany w Polsce po II wojnie światowej?

Tak, to ten - dziś stoi na Motławie w Gdańsku jako muzeum. Zostałem tam szeregowym marynarzem. Władze doszły wtedy do wniosku, że jest za dużo oficerów i trzeba spowolnić awanse. „Sółdek” pływał z węglem do Danii, do elektrowni. Z powrotem wracał pusty. W Szczecinie stawał na kilka godzin. Czasem nawet nie opłacało się iść do domu.

„Sółdek” był już chyba uznawany za antyk?

Cóż, to był przecież parowiec. One już powoli odchodziły.

Palacze ręcznie wrzucali węgiel do kotła?

Tak, szuflami. Żadnych automatycznych podajników.

Jak wyglądał pana dzień pracy?

Miałem wspólną kabinę z młodszym marynarzem. Wachta dzienna, wachta nocna, a między nimi osiem godzin wolnego przerywanego cumowaniem, odcumowaniem. Wystarczało na sen, posiłek, trochę odpoczynku. Czasu było sporo - nie trzeba było dojeżdżać, stać w korytarzach, odprowadzać dzieci.

To co robiliście?

Ja zawsze lubiłem czytać. Ciekawiła mnie prasa. Kiedy miałem dwanaście lat, to wydałem swoją pierwszą gazetkę klasową. Od trzeciej klasy kupowałem miesięcznik „Morze”, z czasem stałem się namiętnym czytelnikiem ta-

kiego dziwnego periodyku: „Orzecznictwo Izby Morskiej”. Rozczytywałem się w nim. U nas w domu było dużo książek. Mój wujek, niedoszły prawnik, też miał bogatą bibliotekę. Grzebiąc po tych półkach, zacząłem interesować się prawem. Pierwszą książkę, jaką u niego przeczytałem, to było chyba „Prawo Rzymskie”.

Studenci prawa umierają przy tym z nudów.

A mi te skłonności się przydały w pracy i w życiu. Zawsze byli jacyś koledzy, znajomi, którzy potrzebowali pomocy, bo mieli jakiś spór z pracodawcą i czuli się skrzywdzeni, zastanawiali się, gdzie szukać adwokata. Każdemu mówiłem: spokojnie, ja ci napiszę pozew czy podanie.

Oj, kierownictwa nie lubią takich gości. Czyli na pokładzie statku się pan nie nudził.

Nawet na statkach prowadziłem biblioteki.

Biblioteki?

Państwo miało ambicję ukulturalniania załóg. Istniał Morski Ośrodek Kultury. Przed rejsem przyjeżdżał goniec i przywoził 150-300 książek. Czasem biblioteki fundowały zakłady pracy - kopalnie, fabryki, małe miasta.

Każdy statek miał bibliotekę?

Na tych, na których pływałem - tak. Ale czasami robił się bałagan. Bibliotekarz na statku to funkcja czysto społeczna. Nie zawsze taka osoba się znajdowała. Zazwyczaj kto pierwszy przyjeżdżał na statek, ten chował sobie wybrane książki do kabiny. I czasami

były tam cały rejs. Ja starałem się pilnować, żeby do książek mieli dostęp wszyscy. Dużo dodatkowych zajęć. Ale dzięki temu wiele osób we flocie mnie znało. Organizator czasu wolnego był lubiany. Często było go aż za dużo.

Fajna praca.

Dopóki coś się nie popsuło, ale to uderzało przede wszystkim w personel maszyny. Załogi były więc za duże, szczególnie na nowych statkach. Stare potrzebowały rąk do tych wiecznych napraw, nowe mogłyby pływać z mniejszą liczbą ludzi. Ale system tego nie przewidywał, więc też były zatłoczone.

Dokąd jeszcze pan pływał?

Do Japonii z jednym bunkrowaniem na redzie w Singapurze. I to był pierwszy szok nowoczesności. Pięćdziesiąt tysięcy ton węgla rozładowano w półtora dnia i koniec postoju. Potem do Australii po rudę, załadunek w 12 godzin. Dobrze, jak udało się na chwilę wyjść do miasta, zrobić jakieś zakupy.

Polska była wtedy potęgą morską?

Może nie potęgą, choć czytając ówczesne gazety, można było odnieść takie wrażenie. Ale to był nasz najlepszy moment. Polskie Linie Oceaniczne miały prawie dwieście statków. Inni armatorzy - kolejne setki. W tym wielka flota dalekomorskich statków rybackich. Nieporównywalnie z dzisiejszą skalą.

Jak rozwijała się pana kariera?

Najpierw starszy marynarz, potem asystent pokładowy, czwarty oficer. Ale ta droga była sztucznie wydłużana. Przez jakiś czas miałem zakaz awansu.

Za co?

Najczęściej degradowano za alkohol. Ale ja za politykę. Były dwa „wykroczenia”: opozycja wobec systemu albo rewizjonizm. Często byłem krytyczny wobec przełożonych, więc uznano mnie za rewizjonistę.



Marek Błuś, kapitan żegluga wielkiej, dziennikarz i publicysta

FOT. JAKOLINA MISZTAŁ



FOT. BALCER/WIKIMEDIA

Prom „Jan Heweliusz” - zdjęcie wykonane w roku 1986

Czyli tego co krytykuje jedyną słuszną linię partii i ciągle usiłuje coś naprawić. To pisanie podań dla kolegów też chyba panu nie pomagało?

Ale mnie za to koledzy szanowali. W latach 70. zostałem delegatem na ostatni kongres związków zawodowych PRL. W tak zwanych wielkich zakładach wybory były bezpośrednie i w miarę demokratyczne, głosowanie tajne.

Przełożeni zastanawiali się pewnie, co z takim niepokornym zrobić?

Zrozumiałem, że ta moja kariera to pułapka. Że muszę odejść z PŻM-u. Powiedziałem, że chcę przeprowadzić się do Gdańska. Tłumaczyłem to sprawami rodzinnymi. Miałem plan: zmieniać przedsiębiorstwa, zbierać doświadczenie. Trafiłem do Przedsiębiorstwa Robót Czerpalnych i Podwodnych. Pływałem na szalandach motorowych. Ale czasami zdarzały się też zlecenia zagraniczne.

Szalandach - czyli barkach, na które ładuje się na morzu piach z pogłębiarek?

To było może mniej romantyczne niż pływanie po pełnym morzu. Zazwyczaj brzeg był w zasięgu wzroku.

Kim pan tam był?

Szyprem, zgodnie z ówczesną nomenklaturą kierownikiem statku. Szyper miał status robotniczy. Wymagana była matura.

Gdzie jeszcze pan pracował? Potem przeszedłem do portu. Pracowałem tam jakiś czas, między innymi na holowni-

kach. Tam też się udzielałem. Gdy mnie w tym porcie mieli już dosyć, to „sprzedali” mnie do urzędu morskiego, tam zaradłem z dyrektorem. Postanowił mnie ukarać. I tą karą wedle niego było przeniesienie mnie między stanowiskami. Co trzy miesiące. Nie chcący spełnić moje marzenie. Zawsze chciałem poznać żeglugę z różnych perspektyw, także z wieży kapitanatu. No a potem się zrobił 1989 rok, można było kupić paszport i pracować u armatorów zagranicznych. Nie musiałem prosić nikogo o łaskę i zacząłem pływać na saksy. Pojechałem na długi kontrakt, bez zawijania do polskich portów. Jak wróciłem, patrzę, jest wolność słowa. To zacząłem szukać pracy w mediach.

Tam nie płacili tak dobrze jak na statkach.

Wróciłem z kontraktu, miałem pieniądze i relatywnie dużo czasu. Nie musiałem jakoś szukać roboty na siłę. Do urzędu już nie chciałem wracać, chociaż miałem drogę otwartą.

Zaczął pan pisać. Gdzie?

Przez chwilę byłem nawet współpracownikiem „Dziennika Bałtyckiego”. Sam się do redakcji zgłosiłem z tekstem o nietypowym statku, który stał niedaleko Skweru

Zrozumiałem, że ta moja kariera to pułapka. Że muszę odejść z PŻM-u. Powiedziałem, że chcę przeprowadzić się do Gdańska

Kościuszki. Podśledzałem rozmowę turystów, którzy się zastanawiali, co to za statek.

Co w nim było takiego dziwnego?

To był prom-lodołamacz z Kanady, który tam jakąś zamrażającą cieśninę obsługiwał, w związku z tym tak dziwnie wyglądał. Przyniosłem to Adamowi Grzybowskiemu. On był zastępcą ówczesnego naczelnego. Powiedziałem, że kiedyś gazety miały reporterów, którzy włożyli się po porcie. Pisali w latach 30. i 40. takie teksty o tym, co tam się dzieje, co ciekawego przypłynęło, co było załadowywane, rozładowywane. Grzybowski to kupił.

Potem przeszedł pan do „Gazety Morskiej”, lokalnego dodatku do „Gazety Wyborczej”.

To była wtedy nowa gazeta, byli gotowi spełnić moje plany: pozwolili mi stworzyć dział poświęcony morzu. Pomagała mi między innymi morską publicystka Grażyna Murawska i tak powstała cała kolumna pod tytułem „Gazeta Morska i Żegluga”, potem dwie kolumny. Zaczęło się to jakoś turlać. Liczyłem, że uda mi się odrodzić ogólnopolski tygodnik morski z prawdziwego zdarzenia, który będzie dodatkiem do lokalnych dodatków „Gazety Wyborczej” wzdłuż całego Wybrzeża. Ale nie znalazłem partnerów ani sojuszników. Przez jakiś czas sam robiłem takie pismo zawodowe - „Azymut”.

Z publicystyki trudno wyżyć. Poszedłem znów do szkół, tym razem uczyć. Nieznany

mi wcześniej Marek Piechaty zaprosił mnie do Ośrodka Szkolenia Ratowniczego, uznając na podstawie moich tekstów, że się przydam. Tam dla marynarzy odbywały się szkolenia z samoratownia się i ratowania innych. Szkoliliśmy teoretycznie i praktycznie. Basen, pas ratunkowy, skoki do wody, tratwa ratunkowa i tak dalej. Byłem tam trochę wykładowcą, trochę instruktorem. Problemem w tej edukacji jest deficyt casusów dotyczących wiedzy o losie pojedynczego rozbitka. Każdy inaczej się ratuje i płyną z tego inne nauki. Każdy ma inne przygody w drodze z kabiny do łodzi lub tratwy i dalej na wodę. W czasach przed internetem trzeba było więc szperać po bibliotekach.

A co z pływaniem?

Pływałem w kratkę. Od czasu do czasu brałem wolne i ruszałem na kontrakt. Na jednym z takich wyjazdów zastała mnie katastrofa „Heweliusza”.

To był styczeń 1993 roku.

Wrócił pan z morza i... Poszedłem najpierw do biblioteki i przeczytałem wszystko, co ukazało się w prasie. Czytałem o zmasakrowanych zwłokach i zastanawiałem się, co tam się właściwie wydarzyło. Dokąd płynął prom, na północ czy na południe, jak pisał Krzysztof Leski. Dlaczego liczba odnalezionych ofiar zmalała z 41 do 38? Po jakie лихо w Niemczech ten spęd ministrów od spraw wewnętrznych? Co to za narady szefa UOP-u z po-

śłami? Co, żeby nie składali zapytań albo interpelacji w sprawie „Heweliusza”?

Ale sama katastrofa? W końcu statki są po to, żeby pływać nawet w czasie sztormu. A tu ginie 55 osób i ratuje się tylko dziewięć.

Miałem własne zdanie o „Heweliuszu”, jeszcze z wcześniejszych czasów. Interesowałem się przecież statkami od dziecka - zbierałem plany modelarskie, pocztówki ze zdjęciami Ukłejewskiego, potem poznałem teorię, liczyłem stateczność. Nie ja jeden to wiedziałem, na przykład piloci portowi w Świnoujściu też wiedzieli, że statek jest niestacyczny: „To się kiedyś przewróci. Przy 4 metrach zanurzenia i 20 metrach nadbudówki - to musi się stać.” Zacząłem czuć, że wokół tej historii dzieje się coś poważnego, że ktoś usiłuje tuszować prawdę.

Relacjonował pan postępowania przed izbą morską?

Na pierwsze rozprawy po katastrofie pojechała Grażyna Murawska. Na kolejną turę pojechałem i ja. Miałem więcej czasu, zrezygnowałem z etatu i codziennych obowiązków redakcyjnych i zostałem wolnym strzelcem.

Coś zwróciło na tej rozprawie pana uwagę?

Zrozumiałem, że uczestniczę w aferze. Napisałem wtedy reportaż „Szczecińska Izba-gate”. Od tego momentu zacząłem śledzić wszystko na bieżąco - jeździłem do ocalałych marynarzy i rodzin ofiar.

Gdzie pan drukował teksty?

Gdzie się dało. Czasem to były zamówienia redakcji, czasem sam proponowałem. Miałem wrażenie, że publikowano mnie coraz mniej chętnie.

Głośny był tekst „Zatonął w morzu kłamstwa”, który ukazał się w tygodniku „Prze-gład”.

Potem przedrukowały go „Życie Warszawy” i „Angora”, oni mieli wtedy ponad pół miliona czytelników.

Kto był zainteresowany wyciszeniem sprawy?

Przed wszystkim armatorzy. To zresztą zupełnie typowe, tak to po prostu działa branża. Armatorzy po katastrofach często próbują nakłonić ludzi do wygodnych dla nich zeznań. Po pierwsze, sami chcą dostać odszkodowanie casco, po drugie, nie chcą płacić z tytułu odpowiedzialności cywilnej. To wiedza ze szkoły morskiej - pamiętam z trzeciego roku: „jak przeżyjecie wypadek, to na pewno przyjdzie armator i zaproponuje >>handel winą<<: jak pan się przyzna do tego, co wymyślimy, to w nagrodę placówka w Buenos Aires. Angielskiemu armatorowi możecie uwierzyć, polskiemu - nigdy”.

Nie jest to żadna teoria spiskowa?

W żegludze, bardziej niż w lotnictwie, jeśli wydarzy się katastrofa, to armator, ubezpieczyciel, państwo, każdy ma interes w tym, żeby przyjąć wygodną wersję wydarzeń. Tego nie ma w podręcznikach,

Dokończenie na str. 16

Dokończenie ze str. 15

Tego nie ma w podręcznikach, ale na wykładach - owszem.

Byli też świadkowie, którzy nie chcieli mówić prawdy?

Na przykład kapitan Józef Kochmański z „Nieborowa”. Odmówił składania zeznań. Jak go telefonicznie odnalazłem, powiedział: „Moje słowa przyniosłyby wielką szkodę banderze polskiej.” Inny przykład: oficer operacyjny ratownictwa Marynarki Wojennej zeznawał o przebiegu akcji. Ale wyszło, że w najważniejszym momencie spał. Drugiego dyżurującego wówczas oficera nie wezwano, bo podobno wcześniej odmówił składania nieprawdziwych zeznań.

Czyli proces był prowadzony tak, żeby wyszło, że winny jest kapitan.

Tak. Orzeczenia izb morskich nie mają tzw. powagi rzeczy osądzonej, czyli dla sądów i ubezpieczycieli są tylko czymś w rodzaju opinii biegłych. Ale branża ubezpieczeń morskich nie chodzi po sądach. Wszystko uciera się w negocjacjach, ewentualnie w arbitrażu. Jeśli armator zawinił, nie dostanie ani grosza. Jeśli winny jest kapitan - ubezpieczyciel płaci. Dlatego tych zarzutów wobec kapitana było w Szczecinie dwanaście, w Gdyni trzy, w izbie odwoławczej już tylko dwa.

Rodziny marynarzy nie protestowały?

Rodziny ofiar działały chaotycznie. W Szczecinie pani Ułasiewicz wzięła za pełnomocnika zaufanego kapitana armatora. Kogo tak naprawdę reprezentował? Inne rodziny też nie miały wsparcia, nikt im nie doradzał, nie tłumaczył procedur. Adwokaci byli dziwnie bierni. Poszedłem nawet do jednego z mecenasów i zapytałem, dlaczego nie składał wniosków dowodowych np. o przesłuchanie byłych kapitanów tego statku? Wyrzucił mnie z kancelarii. Więc zacząłem działać inaczej. Namówiłem wdowy, żeby założyły stowarzyszenie. Pomagałem im, ale nie proponowałem, że zostaną pełnomocnikami, do czego miałem prawo. Nie chciałem rezygnować z roli reportera. No i postanowiłem przeczytać całe akta izb morskich, ale to stało się możliwe dopiero po procesie w Gdyni.

To była chyba robotna na kilka miesięcy?

Zajął mi to dwa tygodnie, po 6-7 godzin dziennie. Szybko, bo wcześniej poznałem akta Państwowej Inspekcji Pracy, które częściowo pokrywały się z izbowymi, bo wymieniano się kopiami. Potem „doczytałem” jeszcze akta prokuratury.



Wystawa w Narodowym Muzeum Morskim w Gdańsku w 30. rocznicę tragedii



Na ekspozycji zgromadzono przedmioty codziennego użytku pochodzące z promu



Do muzeum pamiątki przekazał jeden z ocalałych, Grzegorz Sudwoj, drugi elektryk

Ktoś panu za to zapłacił?

Nikt. Robiłem to, żeby ustalić fakty. Powiedzmy, że było to moje hobby.

Co pan odkrył?

Przed wszystkim taśmę magnetofonową z niemieckiej stacji Rügen Radio. Po prostu w aktach była notatka służbowa o jej nadesłaniu i fragment instrukcji obsługi magnetofonu, takiego, jakiego

używały służby nasłuchowe. To oznaczało, że taśmy były, ale nie odsłuchane. Nagrano je na specjalistycznym sprzęcie produkcji węgierskiej. Węgrzy produkowali takie magnetofony dla całego bloku wschodniego. Były to wielkie szafy ze szpulami do nagrywania 24 godziny na dobę. Instalowano w takich miejscach, jak straż pożarna czy kontrola ruchu lotniczego.

Odsłuchał je pan?

Powoli, nie tak szybko. Najpierw poprosiłem sędziego, żeby pokazał mi tę taśmę. Pierwsze co zobaczyłem, to że jest przecięta w połowie i nawinięta na dwie szpule. Sędzia mi wtedy wyznał, że to on zrobił, bo chciał to odsłuchać na swoim domowym magnetofonie. Ale nie zadziałało i się poddał. Wiadac, że go paliła ciekawość,

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 14.11.2025

tylko sobie z tym nie poradził.

A pan znalazł sposób?

Znalazłem ten węgierski magnetofon w pogotowiu ratunkowym na Zaspie. Przedtem sprawdziłem straż pożarną i lotnisko. To jest długa historia. Ale w końcu miałem to na kasce i odsłuchałem w domu. Z pięćdziesiąt razy co najmniej. Dużo szumów, zresztą to była kopia, i jak się później okazało, ktoś próbował ją wybiórczo kasować. Miałem trudności z językiem niemieckim, znalazłem kogoś, kto mi pomógł. Transkrypt dałem sędziemu i dwóm ławnikom. A potem napisałem tekst pod tytułem „Taśmy prawdy”. Poszło to w „Głosie Wybrzeża” w dwóch odcinkach.

A co takiego ciekawego było na tych taśmach? Zwłaszcza że były zatarte?

Częściowo, głównie chodziło o usunięcie komunikatów Ułasiewicza z prawidłową pozycją. Natomiast nie zatarto informacji, że obok „Heweliusza” był drugi statek. Czyli są bezpośredni świadkowie. Ponieważ ten statek przedstawia się, koresponduje ze stacją brzegową Rügen Radio, podaje swoją nazwę, nadaje mayday relay i swoją pozycję. Znajdował się wtedy tuż przy „Heweliuszu”.

Jakie to ma znaczenie?

Bo są świadkowie, którzy widzieli cały wypadek i mogą o nim opowiedzieć. Wystarczyło ich przesłuchać i okazałoby się, że przebieg zdarzeń był inny, niż ustaliły izby morskie. Ponadto pojawia się statek, który można podejrzewać o zadanie ran rozbitkom a może już tylko ich zwłokom, co ukrywano.

Co się wydarzyło po publikacji pana tekstu?

Zaczęto mnie ścigać za zniesławienie.

Kto?

Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, osoby z sądu i prokuratury, które uznały, że naruszam ich dobre imię. Bo napisałem, że „zachowywali urzędowe milczenie w sprawie źródła dowodu”, ale użyłem słowa „ukrywać”. Mamy taki dziennikarski kodeks w postaci „zasad Orwella”. Zasadą piąta mówi, że nie wolno nam używać makaronizmów, języka naukowego i zawodo-

Orzeczenia izb morskich nie mają powagi rzeczy osądzonej, czyli dla sądów i ubezpieczycieli są tylko czymś w rodzaju opinii biegłych

wego żargonu, jeśli znamy odpowiedniki z języka potocznego. Od pani asesora dowiedziałem się, że sędzia ukrywa dowody tylko wtedy, gdy je wynosi z sądu.

Dlaczego pozwali pana do sądu w Pile, a nie w Gdańsku lub Szczecinie? Złośliwość?

Nie, podejrzewam, że chodziło o to, żeby dziennikarzy nie było na sprawie. A rozpraw było kilka, co miesiąc.

No tak, kto będzie jeździł na rozprawy do Pily?

Tam w ogóle było trudno dojechać. To był okres, że nie było bezpośredniego pociągu ani z Warszawy, ani z Gdańska. Ja musiałem przez Tczew jeździć.

I został pan skazany.

Tak. Musiałem zapłacić m.in. tysiąc pięćset złotych na PCK, koszty procesu i przeprosić zniesławionych. A jak nie przeproszę, to dodatkowe 3,5 tysiąca złotych grzywny. Razem chyba dziewięć tysięcy.

Przeprosił pan?

Nie. Miałem wtedy finansowy dółek, ale wolałem zapłacić, niż przeproszać. Poprosiłem o rozłożenie tego na raty i jakoś z pomocą znajomych to spłaciłem. To chyba po tym wyroku w „Kurjerze Szczecińskim” ukazało się oświadczenie wdów. Napisała je żona starszego oficera, pani Janicka. Pamiętam, ostatnie zdanie: „Jeszcze wszyscy będziemy się wstydzili”.

Czyli jest pan jedynym skazanym i ukaranym za wypadek promu „Heweliusz”?

Na to wychodzi.

W 2005 roku, po apelacji wdów orzeczenia izby morskiej zostały ocenione przez Europejski Trybunał Praw Człowieka. Według Trybunału, izby morskie nie były sądami niezawisłymi i bezstronnymi. A co z panem?

Moja skarga została odrzucona po pięciu latach oczekiwania, bo nie złożyłem w Polsce skargi konstytucyjnej, choć nie musiałem. Skarzyłem procedurę, a nie ustawę. Ale przez te pięć lat zmienił się tam sposób procedowania pod naciskiem lawiny skarg z Rosji.

Oglądał pan serial o „Heweliuszu” na Netfliksie?

Gdy rozmawiamy, tylko dwa pierwsze odcinki na premierze. Jedną rzecz zauważyłem od razu: scenarzysta Kasper Bajon dokładnie przeczytał akta sprawy. Są tam oczywiście całkowicie zmyślone wątki fabularne, ale wygląda na to, że wątki dotyczące statku, katastrofy i spisku przeciwko Ułasiewiczowi są pokazane bardzo realistycznie. ©

Nie poddaje się, bo nigdy nie jest za późno. A życie jest tylko jedno

Leszek Wójcik
Szczecin

Po wypadku na budowie stracił władzę w nogach - mistrz Polski w sprincie porusza się teraz na wózku inwalidzkim. W szpitalu w Zdunowie niedawno wziął ślub.

Macieja Światłowskiego odwiedzamy w szczecińskim szpitalu Rehabilitacyjnym przy al. Wyzwolenia. Siedzi w wózku inwalidzkim. Nie widać, że jest chory: uśmiechnięty i wysportowany, choć w jego przypadku to za mało powiedziane. Jest ubrany w koszulkę bez rękawów. Dzięki temu widać, że jest naprawdę porządnie napakowany.

Ale nie to przyciąga nasz wzrok. Na palcu 53-letniego mężczyzny lśni nowiutka złota obrączka. To ją nasz gospodarz najbardziej eksponuje. Widać, że jest z niej dumny.

- Ślub wziąłem tydzień temu - mówi, zauważając, że się na nią patrzę.

Pan Maciej mówi o sobie, że jest kulturystą. Ale największe sukcesy odnosił w lekkiej atletyce. Dwukrotnie zdobył Mistrzostwo Polski w biegach na 100 i 200 metrów. Do tego wicemistrzostwo w sztafecie. Był objęty centralnym szkoleniem na igrzyska olimpijskie w Barcelonie w 1992 r. Dostał stypendium, jeździł na obozy... Na treningu pękł mu mięsień dwugłowy i... koniec kariery.

- Nie pojechałem na olimpiadę. Nie wróciłem do lekkoatletyki, do sportu wyczynowego. Kompletnie się załamałem - mówię.

Chwilę później przyznaje, że sam trochę pomógł nieszczęściu.

- Jak jeszcze trenowałem bieganie, ciągnęło mnie na siłownię. Tak naprawdę ćwiczyłem od siódmego roku życia - cegły, pieńki, linki... Sam budo wałem własną siłownię i ćwiczyłem.

Sprinterem został przez przypadek.

- W szkole zauważyli, że robię wyniki. Do dziś mam rekord szkoły i rekord Szczecina. Ale marzyłem o kulturystyce. Arnold Schwarzeneger, ściany pokoju oblepione zdjęciami sławnych kulturystów. To był mój świat.

Było więc tak, że w dzień trenowałem bieganie, a po nocach biegałem ćwiczyć na siłownię.

- Mój trener, Jerzy Iwiński, mówił mi: Nie trenuj. Nie na-



pompowuj się. Trening sprinterski jest dynamiczny, zupełnie inny niż siłowy - to są dwa światy, których nie można połączyć. Mimo to pakowałem. W końcu złapałem 8-9 kg masy, przy 80 kg wagi, to dużo. Ja to musiałem nieść. Skończyło się tak, jak musiało się stać: przy starcie zerwałem mięsień.

Po wyleczeniu pan Maciej na dobre zajął się kulturystyką. Początki były optymistyczne. Zdobył piąte miejsce na debiutach u Pudziańskiego, ale potem trafiła się kolejna kontuzja. Wtedy zaczął wspierać osoby zmagające się m.in. z otyłością, zmieniając, dzięki świadomemu wysiłkowi, ich życie na lepsze. Trenował też młodzież. Nie przestając jednak ćwiczyć.

Nigdy się nie poddawajcie, bo macie tylko jedno życie i nigdy na nic nie jest za późno. Realizujcie marzenia, pokonujcie przeszkody

- Szykowałem się do zawodów.

Nasz rozmówca pokazuje w telefonie serię zdjęć z siłowni.

- Byłem niezłe przygotowany. Wyciskałem prawie 200 kg. Moim zdaniem, miałem szanse.

Nie zrealizował kolejnego marzenia. W sierpniu ze swoją ekipą budowlaną pojechał do Szwajcarii ustawiać największą na świecie karuzelę. Spadł z rusztowania z wysokości pięciu metrów. Poważnie rozbił głowę. I zmiażdżył pięć kręgów w kręgosłupie - stracił czucie od pasa w dół.

Na miejscu przeszedł kilka operacji neurochirurgicznych. We wrześniu przewieziono go do Polski, do szpitala w Zdunowie. Lekarze orzekli, że nie będzie chodził.

- Dorota czekała na mnie przed szpitalem. Płakała. Nie dziwi się. Kiedy się okazało, że jestem skazany na wózek, myślałem, że się rozstaniemy. Chyba bym to zrozumiał - wyznaje.

- Ale nie. 3-4 dni po przyjeździe zapytała mnie, czy się po-

bierzemy. Byłem wtedy w dołku, przecież cały świat mi się zawalił. Myślałem, że przede mną już nie ma nic, a ona mówi takie rzeczy. Byłem tak zaskoczony, że wydusiłem z siebie tylko „jasne”. Od tego momentu rozpoczęła się moja historia stawania na nogi - dosłownie i w przenośni.

Dorota Światłowska jest młodszą od swojego męża równo o 10 lat. Poznała go dwadzieścia lat wcześniej.

- Ja byłem kierownikiem ochrony w Biedronce, w której ona robiła zakupy. Zwróciła moją uwagę. W końcu odważyłem się zagaść. Umówiliśmy się. A po pół roku mieszkaliśmy razem. Wiele razy planowaliśmy ślub, ale wciąż przesuwaliśmy jego termin. Kochaliśmy się. Nie było spinki.

W uczczeniu tego wyjątkowego dnia pomogły panu Maciejowi pielęgniarki, które pod czujnym okiem oddziałowej zadbały o odpowiednią atmosferę i spektakularną operację.

- To była pierwsza taka uroczystość w naszym oddziale.

Myślę, że udało się nam zaskoczyć pacjenta. Było pięknie. Białe goździki, udekorowana sala, złote balony, wstążki. Ina pisał „Mąż i Żona” - wspomina Zofia Cerniewska, pielęgniarka oddziałowa oddziału chirurgii urazowo-ortopedycznej V.

- Byłem w szoku. Przyszły wszystkie pielęgniarki. Urzędniczka powiedziała kilka miłych słów, od siebie, nie szablonowo. Cudowna chwila. Zrozumiałem, że coś się zmienia.

Maciej mówi o sobie, że jest twardy. Siedząc na wózku inwalidzkim, potwierdza, że w nieszczęśliwym wypadku i jego konsekwencjach widzi motywację.

- Nigdy się nie poddawałem. Jako sportowiec, wykończony po treningu, wstawałem, wycierałem łzy, pot, czasami krew i walczyłem dalej. I tak teraz robię w życiu.

Jedni lekarze mówili, że tego kręgosłupa nie da się odbudować. Drudzy, że jakaś reakcja nerwów nadal jest - rdzeń jest zmiażdżony, ale nie zerwany. Z kolei rehabilitanci pociesza-

li, że rusza kolanami, że widzą jakieś reakcje w stopach.

- Będę chodził, nie wiem jeszcze jak, ale będę chodził.

Ponownie pokazuje nowiutką błyszczącą obrączkę. Jak zapewnia, jej zdobycie było punktem zwrotnym.

- W Szwajcarii byłem sam. Tylko setki telefonów z Polski trzymały mnie przy życiu. A widok Dorotki obudził we mnie wojownika.

Rekonwalescent już rusza nogami. Wstaje i siada. Jeszcze nie chodzi. Ale taki jest plan, wkrótce będzie się sam załatwiał.

- Czekam na ciężką pracę.

W jego sali chorych jest urządzona mini-siłownia. Są hantle, porozwieszane gumy.

- Fizjoterapeuci są tu niesamowici. Katują mnie dwa razy dziennie. Przełamuję ból i do przodu, bo bez tego się nie da. A po zajęciach ćwiczę sam na sali - nie jestem z tych, co patrzą w sufit. Mam leżeć? O nie. Świat mi się przekręcił o 180 stopni, ale się nie poddam. Jeszcze wrócę na siłownię.

©©

KSIAŻKI

Aglo. Banką po Śląsku

Zbigniew Rokita



Wydawnictwo Znak Literanova. Od wydawcy: „Malarz Erwin Sówka

mawiał, że w Aglomeracji żyjemy na ogromnej żyłcie ciągnącej się od Mysłowic do Ostropy. Gdyby w Śląsk uderzył meteor, węgiel by zapłonął, a Śląsk stałby się drugim słońcem. Erwin był przekonany, że ta energia nieustannie na nas działa, że stąpanie po czystej energii Ślązaków przemienia. To od jego domu zacząłem tę podróż. Wsiadłem w tramwaj numer 7, w Siódmkę, królową śląskich banek, i ruszyłem przez nową stolicę świata, przez Aglo”. Czytelniku, wybierz się w tę podróż po Śląsku, zasmakuj w magii codzienności i stylu śląskiego pisarza. Naprawdę warto. Polecam. **(MARA)**

Co ma piernik do wiatraka i inne językowe rozkminy

W. Zych, M. Wierchowski



Wydawnictwo Znak emotikon. Od wydawcy: „O co chodzi

twojemu znajomemu, gdy mówi, że znacie się jak tyse konie, mimo że macie włosy? Dlaczego podczas klótni rodzice twierdzą, że stajesz okoniem, a ty przecież leżysz na kanapie i scrollujesz telefon? I czemu wszyscy chcą zbijać kokosy, skoro arbuzy są sto razy lepsze? Nie masz zielonego pojęcia. Ale w sumie to czemu nie żółtego albo czerwonego?! Razem z FireVerką ogarnij najdziwniejsze powiedzenia i zwroty z księżycy. Odkryj tajemnice kocięj mordy, niebieskich migdałów i puszczenia bąków”. Rodzice! Koniecznie kupcie tę książkę dzieciom! Żeby mieć z nimi wspólny język. **(MARA)**

Arabscy influencerzy. Zbrodnia i sława

Marcin Margielewski

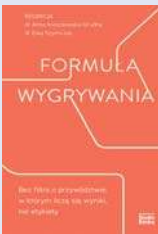


Wydawnictwo Prószyński i S-ka. Od wydawcy: „Blask internetowej sławy

wy może rozświetlić całe życie. Może je też zgasić. Khadidja zginęła, bo była podobna do znanej influencerki; Babak – bo nie chciał się ożenić; Eden – za to, że przyniosła swojej rodzinie hańbę w internecie; Quandeel – za internetowy striptiz, którego nigdy nie zrobiła. Ali na co dzień rośmieszał ludzi na TikToku, ale gdy podczas transmisji internetowej strzelał do swojej żony, nikt się nie śmiał. Mahek swoim tańcem przyciągała tysiące obserwatorów, ale zaplanowana przez nią zemsta na kochanku mamy rozgrała miliony”. Szok. Będziecie przerażeni. Warto to jednak wiedzieć. **(MARA)**

Formuła wygrywania

Anna Kieszkowska-Grudny, Ewa Szymczak



Wydawnictwo Studio Emka. Rozwinięcie tytułu: „Bez filtra

o przywództwie, w którym liczą się wyniki, nie etykiety”. Od wydawcy: „W biznesie, tak jak w dyplomacji, prawdziwą siłę daje partnerstwo. Ta książka pokazuje, że przyszłość należy do organizacji, które do stołu, przy którym zapadają najważniejsze decyzje, zapraszają osoby reprezentujące pełen potencjał różnorodności”. Wcale nie jest łatwo być świetnym liderem w świecie, które zagubiło wartości i niszczy autorytety albo mylnie je obiera. Ta książka pokazuje, jak w praktyce powinno wyglądać nowoczesne, empatyczne zarządzanie zespołem. **(MARA)**

Czujne Oko i rzecz niemożliwa

Dave Eggers



Wydawnictwo Widnokrąg. Od wydawcy: „Opowieść o mię-

dzygatunkowej przyjaźni, o świecie widzianym z perspektywy zwierząt i przede wszystkim o wolności! Johannes to szybki jak błyskawica pies, Czużne oko. Mieszka w parku, obserwuje otoczenie i składa raporty trzem Bizonom, które strzegą równowagi między tym, co ludzkie a przyrodą”. Wzruszająca i mądra opowieść dla dzieci o wolności, równowadze w przyrodzie i przyjaźni międzygatunkowej. Jednym z wątków jest działalność człowieka, który niszczy naturę. Głównym bohaterem jest pies. Świetne ilustracje autorstwa Shawna Harrisa. **(MARA)**

Przepis na rodzinę

Kate O'Shaughnessy



Wydawnictwo Widnokrąg. Od wydawcy: „Kiedy Mo przez przypa-

dek znajduje książkę kucharską pełną przepisów i rodzinnych historii, postanawia zacząć gotować. Tworzy bloga, gdzie dzieli się przepisami i historiami, które je otaczają. Ale największym pragnieniem Mo jest znaleźć swój własny, rodzinny przepis. To opowiedziana listami do ukochanej babci powieść o rodzinie, miłości i gotowaniu. Żadnego czytelnika nie pozostawi obojętnym”. Wydawca pisze prawdę, to emocjonalna i bardzo piękna książka dla dzieci o miłości, przyjaźni, potrzebie prawdziwych, nieudawanych związków z innymi ludźmi. Gorąco polecam. **(MARA)**

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 94 347 35 12
Przez internet: ibo.polskapress.pl

W Biurze Ogłoszeń:

Oddział Koszalin: ul. Partyzantów 17, 75-411 Koszalin, tel. 94 347 35 12

Oddział Słupsk: ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk, tel. 59 848 81 03

Oddział Szczecin: Al. Niepodległości 26/U1, 70-412 Szczecin, tel. 91 48 13 310

Handlowe

JUBILERSTWO

SKUP złota i srebra, wszystkie próby, ul. Młyńska 63, K-lin 509-345-577.

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek.

Codziennie. Koszalin, 605-284-364

AUTOREKLAMA

strona
zdrowia
Czytaj dla zdrowia
stronazdrowia.pl

Usługi

AGD RTV FOTO

PRALKI naprawa w domu, 603 775 878

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - tradycyjne turnusy Świąteczne, tel.: 501-642-492.

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI, 881-934-948

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlećisz przez Internetowe Biuro Ogłoszeń: **ibo.polskapress.pl**

AUTOREKLAMA

aktualne
z całej Polski
przetargi

nasze
komunikaty.pl

REKLAMA

Minister
Finansów i Gospodarki

OBWIESZCZENIE

Na podstawie art. 49 § 1 i 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz.U. z 2024 r. poz. 572, z późn. zm.), oraz art. 11f ust. 3 i 6 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (t.j. Dz.U. z 2024 r. poz. 311)

Minister Finansów i Gospodarki

zawiadamia, że wydał decyzję z dnia 30 października 2025 r., znak: DLI-II.7621.4.2024.JK.12, uchylającą w części i orzekającą w tym zakresie co do istoty sprawy, a w pozostałej części utrzymującą w mocy decyzję Wojewody Zachodniopomorskiego Nr 5/2023 z dnia 20 listopada 2023 r., znak: K-AP-1.7820.3.2023.HS(6), o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej pn.: „Rozbudowa drogi wojewódzkiej nr 163 (ul. Kołobrzaska) w m. Białogard”.

Z treścią ww. decyzji z dnia 30 października 2025 r. oraz aktami sprawy można zapoznać się w Ministerstwie Rozwoju i Technologii w Warszawie, ul. Chałubińskiego 4/6, we wtorki, czwartki i piątki, w godzinach od 10:00 do 14:30, po wcześniejszym umówieniu się telefonicznie pod numerem telefonu 22 323 40 70 - od poniedziałku do piątku w godzinach 10:00 – 14.30, jak również z treścią ww. decyzji – w urzędzie gminy właściwej ze względu na przebieg drogi, tj. w Urzędzie Miasta Białogard.

Data publikacji obwieszczenia: 14 listopada 2025 r.

REKLAMA

0011247910

OMEGA
WYCENY
OBRÓT

SŁUPSK, UL. STARZYŃSKIEGO 11
tel. 59 841 44 20
601 654 572
www.nieruchomosci.slupsk.pl
omega@nieruchomosci.slupsk.pl

REKLAMA

0011431783

Dyrektor RDLP w Szczecinku

informuje o możliwości wglądu, zapoznania się oraz zgłaszania uwag, wniosków i opinii do projektu Planu Urządzenia Lasu dla Nadleśnictwa **Gościno** sporządzonego na lata 2026-2035 wraz z prognozą oddziaływania planu urządzenia lasu na środowisko i na obszary Natura 2000. Dokumentacja projektu została wyłożona do wglądu w siedzibie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Szczecinku (pod adresem: ul. Mickiewicza 2, 78-400 Szczecinek), w Wydziale Urządzania Lasu i Geomatyki (pokój 115), w dni robocze w godzinach od 8.00 do 15.00. Prosimy o wcześniejszy kontakt pod numerem tel. 94 372 63 00, w dni robocze, w godzinach od 8.00 do 15.00. W wersji elektronicznej dokumentacja została udostępniona na stronie BIP RDLP w Szczecinku w zakładce Co robimy/Plan urządzenia lasu/materiały.

Wszyscy zainteresowani mogą składać uwagi i wnioski do projektu PUL w terminie **do dnia 8 grudnia 2025 r.** w formie pisemnej lub za pomocą środków komunikacji elektronicznej bez konieczności opatrywania ich bezpiecznym podpisem elektronicznym, o którym mowa w ustawie z dnia 5 września 2016 r. o usługach zaufania oraz identyfikacji elektronicznej (Dz.U. z 2024 r. poz. 1725):

- na adres lub w siedzibie Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Szczecinku, ul. Mickiewicza 2, 78-400 Szczecinek;
- na adres e-mail: rdlp@szczecinek.lasy.gov.pl;
- na adres elektronicznej skrzynki podawczej: **/pgl_lp_1171/SkrytkaESP**;
- na adres skrzynki e-Doręczeń: **AE:PL-10592-98542-BATGD-24**, z dopiskiem „Uwagi do projektu PUL dla Nadleśnictwa Gościno”.

Uwagi lub wnioski wniesione po upływie terminu, o którym mowa powyżej, pozostawia się bez rozpatrzenia. Jednocześnie informuję, iż rozpatrzenie wszystkich uwag i wniosków zawarte zostanie w załączniku do podsumowania z uzasadnieniem projektu PUL, sporządzonego na podstawie przepisów ustawy OOS z dnia 3 października 2008 r. (t.j. Dz.U.2024, poz. 1112), dlatego też nie będą udzielane żadne inne indywidualne odpowiedzi w formie pisemnej.

Jednocześnie informujemy, że właściwym do rozpatrzenia powyższych uwag i wniosków jest Dyrektor RDLP w Szczecinku.

Polacy chcą sprawić niespodziankę z Oranje

Bartosz Głab
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacja Polski zmierzy się dzisiaj z Holandią w przedostatnim meczu eliminacji MŚ 2026. Bialo-Czerwoni szansę na zajęcie 1. miejsca w grupie mają jedynie iluzoryczne.

Niestety, dla podopiecznych Jana Urbana, w regulaminie eliminacji jest zawarte, że przy identycznej liczbie zdobytych punktów, o kolejności w tabeli decyduje bilans bramkowy, a pod tym względem Holendrzy mają gigantyczną przewagę nad Polakami. Mimo to w stolicy ekipa prowadzona przez doświadczonego szkoleniowca będzie chciała wywalczyć cenne zwycięstwo.

- Wydaje mi się, że ta różnica jest duża jakościowo. Wystarczy sobie zobaczyć, gdzie ci zawodnicy grają i tak dalej. Natomiast reprezentacja to zbiór tych najlepszych zawodników reprezentujących dany kraj, to z reguły jest jedno spotkanie na jakiś czas i później rewanżowe z danym przeciwnikiem. Ta atmosfera w reprezentacji, to jak zawodnicy się rozumieją. Jedno spotkanie, to jest możliwe, że tam, możesz sprawić niespodziankę. Patrząc globalnie na reprezentację Holandii i Polski. No niestety tam jest dosyć duża różnica, ale ten mecz z Holandią pokazuje, że można powalczyć. Natomiast sam fakt, gdzie my jesteśmy w rankingu, gdzie oni. No to już podkreśla różnice między naszymi reprezentacjami. Ogólnie piłka nożna jest taką dyscypliną, w której te niespodzianki są możliwe i kibic czy w klubie, czy w reprezentacji zawsze wierzy w to, że nawet



Jan Urban powiedział przed piątkowym meczem, że chce zobaczyć drużynę stawiającą kolejny krok

z nie wiadomo jak mocnym przeciwnikiem można go pokonać. Jeślibym miał powiedzieć, że dzisiaj my już jesteśmy tak silni, tak mocni, że możemy w każdym meczu z Holandią grać jak równy z równym, na dzień dzisiejszy oni mają zdecydowanie większy potencjał, co nie oznacza, że my nie chcemy nawiązać z nimi równorzędnej walki i naszą strategią do meczu, naszym sposobem chcemy jak najbardziej utrudnić życie. Wydaje mi się, że oni są w 100 procentach pewni, że mają awans i jeśli tak myślą i chociaż troszeczkę nas zlekceważą, nawet niechcący, no bo często tak się dzieje, to chciał-

bym, żebyśmy to umieli wykorzystać - powiedział selekcjoner na przedmeczowej konferencji prasowej.

Selekcjoner nie chciał ujawnić, kto stanie w bramce reprezentacji Polski pod nieobecność kontuzjowanego Łukasza Skorupskiego. Najprawdopodobniej będzie to Kamil Grabara, który zagrał już raz w drużynie prowadzonej przez Jana Urbana. Ponadto pod znakiem zapytania stoją pozycje środkowego obrońcy oraz pomocnika. W pierwszym przypadku uraz wykluczył z występu Jana Bednarka. Natomiast w drugim, z kartki będzie pauzować Bartosz Slisz.

- Chcemy spróbować czegoś innego. Ta sytuacja poza tym ma miejsce w jednym spotkaniu, bo w kolejnym już będziemy mieli do dyspozycji w tym przypadku Bartka Slisza. Także nie widzę w tym problemu, a jednocześnie, jak już uważamy, to za problem. Ja staram się wykorzystać tę sytuację do czegoś innego - zaznaczył Jan Urban.

Prestżowego meczu w stolicy nie może doczekać się Matty Cash, który we wrześniu pięknym golem dał reprezentacji Polski niespodziewany remis w Rotterdamie z Holandią. Teraz piłkarz grający na co dzień w angielskiej Premier League również marzy o wpisaniu się na listę strzelców, po raz pierwszy w Warszawie.

- To jest fantastyczne miejsce, fantastyczna atmosfera. To jest stadion, na którym jeszcze nie strzeliłem, więc to, co zrobiłem w Chorzowie, będę musiał zrobić też tutaj. Kocham Warszawę, prawdopodobnie to najwspanialszy stadion, na którym grałem - powiedział piłkarz Aston Villi.

Transmisję z meczu Polska - Holandia od godziny 20.45 będzie można obejrzeć za darmo na kanałach TVP 1 oraz TVP Sport. Spotkanie prosto z trybun stadionu PGE Narodowy skomentują znany duet: Mateusz Borek i Grzegorz Mielcarski. Studio przedmeczowe rozpocznie się już o godzinie 18.30. Poprowadzi je Jacek Kurowski, a jego gośćmi będą Tomasz Iwan, Janusz Michallik, Artur Wichniarek, Dariusz Szpakowski oraz Jakub Wawrzyniak.

W internecie mecz eliminacji MŚ 2026 będzie można obejrzeć za darmo na stronie sport.tvp.pl, a także w aplikacji TVP Sport. ©©

Inauguracja Pucharu Świata z oficjalnym debiutem w kadrze Semirunnija

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE. Dzisiaj zainaugurowany zostanie sezon 2025/26 Pucharu Świata w łyżwiarstwie szybkim. Pierwszym z pięciu przystanków cyklu będzie amerykańskie Salt Lake City.

Zawody kontrolne odbyły się na tym samym torze w Salt Lake City, na którym od piątku do niedzieli odbędzie się rywalizacja w Pucharze Świata. Polacy uzyskali dobre wyniki, m.in. Marek Kania wygrał wyścig na 500 m z rekordem Polski - 34,01s, nowy najlepszy wynik w kraju ustanowił także na 3000 m Władimir Semirunnij - 3:38,73, który w USA oficjalnie zadebiutuje w cyklu PŚ w bialo-czerwonych barwach.

Tor w Salt Lake City wyjątkowo pasuje również specjalizującemu się w rywalizacji na 500 metrów Damianowi Żurkowi.

- Lubię startować na szybkich torach. W takich warunkach można pracować stricte nad techniką, nie trzeba się sku-

piąć na innych aspektach. Fajną rzeczą są też przecięcia na wirażach - wówczas czuje się różnicę w porównaniu ze startami na wolniejszych torach, gdzie czasem musimy dokładać rytmu. Za każdym razem startuję, żeby zdobywać medale. Ale jeśli nie stanę na podium w PŚ, a będzie kwalifikacja na igrzyska, to biorę to w ciemno - powiedział Żurek na stronie Polskiego Związku Łyżwiarstwa Szybkiego.

Przygotowania do rozpoczęcia sezonu nie należały do najłatwiejszych dla jednej z liderów polskiej ekipy, Andżeliki Wójcik, która miała problemy zdrowotne i wciąż nie wróciła do najwyższej formy. - Andżelika jest zawodniczką o dużym talencie, ale borykała się z wieloma problemami zdrowotnymi, kontuzjami i cały czas to trwa, więc jej forma jest małą niewiadomą - przyznał trener polskiej kadry Roland Cieślak.

PŚ w Salt Lake City to początek walki o kwalifikację na igrzyska - zarówno indywidualną, jak i drużynową. ©©



Rosjanin Władimir Semirunnij oficjalnie zadebiutuje w polskich barwach na Pucharze Świata w Salt Lake City

Billie Jean King Cup w Gorzowie Wlkp.: Świętek wraca na polski kort

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

TENIS. Z Igą Świętek na czele reprezentacji Polski od piątku do niedzieli zagra w Gorzowie Wielkopolskim o awans do przyszłorocznych kwalifikacji Billie Jean King Cup.

Wiceliderka światowego rankingu tenisistek wystąpi w Polsce po dwóch latach przerwy.

Iga Świętek zdecydowała się na grę w barwach reprezentacji, mimo że ma za sobą bardzo in-

tensywny sezon w cyklu WTA. 24-letnia tenisistka z Raszyna wystartowała w tym roku w 19 turniejach i rozegrała 80 spotkań - najwięcej ze wszystkich tenisistek. Wygrała trzy turnieje, w tym odniosła historyczny triumf w wielkoszlemowym Wimbledonie. Najlepsza była również w Cincinnati (WTA 1000) i Seulu (WTA 500).

- To był bardzo intensywny sezon, ale cieszę się, że ostatnie mecze rozegram w rodzinnym kraju. Atmosfera na pewno będzie świetna, a wsparcie ogromne. Jestem za nie bardzo

wdzięczna, i myślę tu o całym sezonie, bo jeżdżąc po świecie, zawsze widzę bialo-czerwone flagi na trybunach. Kibice nie zawiodą. Nie mogę się też doczekać spotkań z ekipą. Na pewno damy z siebie wszystko - zapewniła Świętek.

Raszynianka wystąpi przed polską publicznością po raz pierwszy od... lipca 2023 roku, gdy wygrała turniej WTA 250 w Warszawie. Była nieobecna podczas turnieju kwalifikacyjnego Billie Jean King Cup w Radomiu w kwietniu tego roku, gdy Bialo-Czerwone nie wywal-

czyły awansu do tegorocznych finałów, które po raz pierwszy odbędą się w Chinach.

Polki, której skład uzupełniają Katarzyna Kawa, Linda Klimovcova i Martyna Kubka, rozpoczną rywalizację dzisiaj meczem z Nową Zelandią o godz. 15. W niedzielę zmierzą się z Rumunkami, też o 15. W sobotę mają dzień wolny, ale o godz. 14.30, tuż przed meczem Nowej Zelandii z Rumunią, spotkają się z kibicami na sesji autografowej.

W związku z reformą rozgrywek, polegającą na zmniejszeniu uczestników decydującego tur-

nieru z 12 do ośmiu ekip, drużyna prowadzona przez Dawida Celta musi przejść dwa etapy kwalifikacji. Pierwszym będzie właśnie turniej w Arenie Gorzów - nowoczesnej hali widowiskowo-sportowej otwartej w grudniu 2023 roku, która posiada trybuny na około pięć tysięcy miejsc. Bilety na mecze reprezentacji Polski zostały wyprzedane.

W tym samym terminie odbędą się w sumie siedem turniejów, których triumfatorce awansują do decydującej fazy eliminacji zaplanowanej na kwiecień 2026 roku. Pozostałe

14 zespołów z miejsc drugich i trzecich w tabelach zagra na wiosnę w Grupie I BJKC.

Polki zajmują 9. miejsce w rankingu Międzynarodowej Federacji Tenisa (ITF). Rumunki plasują się na 15. miejscu, a Nowozelandki są 31. W kadrze Rumunii znalazły się: Elena-Gabriela Ruse, Gabriela Lee, Elena Ruxandra Berteau, Maria Gae i Monica Niculescu. Nową Zelandię reprezentować będą trzecia w światowym rankingu deblistki Erin Routliffe, a także Vivian Yang, Jade Otway i Elyse Tse. ©©

SPORT

www.sportowy24.pl

Reprezentacyjny mecz na szczycie. W Szczecinie Polacy grają z Włochami

Maurycy Brzykcy
sport@gs24.pl

PIŁKA NOŻNA. Dziś na stadionie im. Floriana Krygiera gościć będzie reprezentacja Polski. Kadra do lat 21 zmierzy się z Włochami w meczu eliminacji do mistrzostw Europy. Start o godz. 16.

Nie zdarza nam się często w Szczecinie mecz piłkarskiej reprezentacji Polski, zwłaszcza o punkty. Dorosłej kadry w meczu eliminacji pewnie przez jakiś czas jeszcze nie zobaczymy, ale wypada się z cieszyć, że gości u nas bezpośrednio zaplecze drużyny trenera Jana Urbana. W dodatku ma rywala z europejskiego topu, a samo spotkanie jest starciem na szczycie tabeli.

Polacy i Włosi rozegrali po cztery spotkania w ramach

eliminacji mistrzostw Europy. Obie ekipy mają na koncie komplet punktów. Przed Polakami piątkowy mecz, a następnie starcie z Macedonią Północną. Trenerem reprezentacji jest Jerzy Brzęczek i zebrał drużynę na obozie w Opalenicy. W zespole są debiutanci, ale nie ma ani jednego zawodnika z klubów naszego regionu.

- Zdajemy sobie sprawę, że spotykają się dwie najlepsze drużyny w tej grupie, na bardzo wyrównanym poziomie, a o wyniku będą decydować dyspozycja dnia i ewentualnie odrobina szczęścia. Nie jest to jednak spotkanie, które będzie decydowało o tym, kto pojedzie na mistrzostwa. Zdecyduje suma punktów z całych kwalifikacji, a nie bezpośrednio mecze z Włochami - mówi trener Jerzy Brzęczek w rozmowie z „Łączy nas piłka”.



Dziś na stadionie im. Floriana Krygiera kadra Polski do lat 21 zagra z Włochami w ramach eliminacji ME

PIŁKA WODNA

Runda zasadnicza MP. W weekend w basenie Floating Arena w Szczecinie odbędzie runda zasadnicza mistrzostw Polski do lat 15. Rywalizować będą najmocniejsze ekipy juniorów młodszych z tej części Polski, oczywiście z Arkonią Watepolo Szczecin. W sobotę Alfa Gorzów - Stilon Gorzów (g. 10) oraz Arkonia - Szkoła Gortata Poznań (11.30), SG - Stilon (16) i Arkonia - Alfa (17.30), w niedzielę Alfa - SG (9) i Arkonia - Stilon (10.30).



FOT. ARKONIA WATERPOLO

PIŁKA NOŻNA

Występy i zwycięstwo Maciej Wojciechowski i Adrian Przyborek z Pogoni Szczecin zagraли w meczu reprezentacji Polski U19 z Bośnią i Hercegowiną (2:1). Maciej rozegrał 90 minut, a Adrian dostał ponad 20 minut.

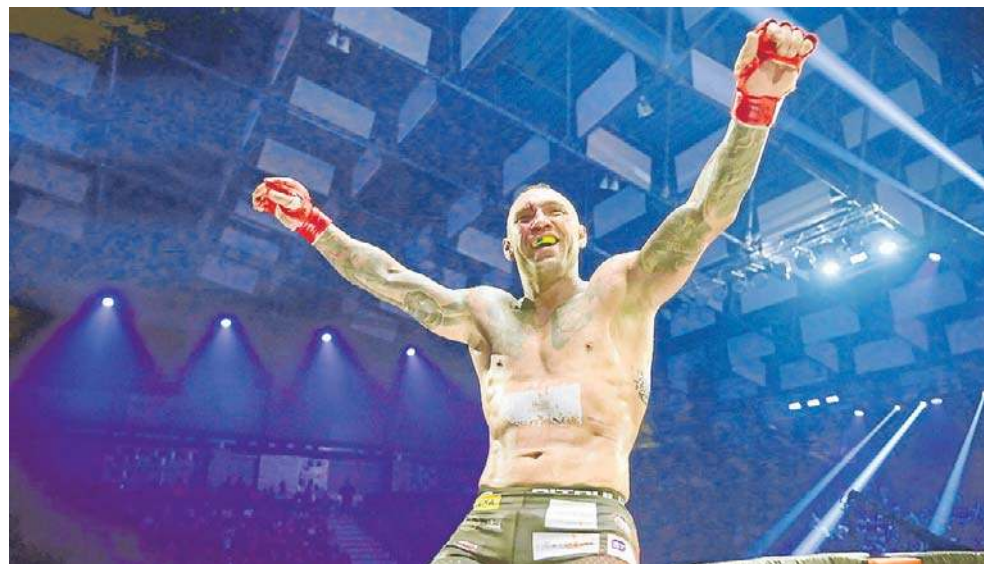
Kilku lokalnych wojowników podczas sobotniej gali KSW

Maurycy Brzykcy
sport@gs24.pl

SZTUKI WALKI. W sobotę o godz. 19 w hali Netto Arena w Szczecinie ruszy gala XTB KSW 112. Zobaczmy w akcji kilku lokalnych zawodników.

Gala XTB KSW zawita do Szczecina po raz czwarty. Na niemal 120 gal, które odbyły się, bądź zostały zaplanowane, do tej pory w całej Polsce i kilku miejscach za granicą, nie jest to zbyt dobra statystyka. Trudno powiedzieć, że czy wynika to z faktu, że władze Szczecina, naszej hali oraz KSW nie dogadują się zbyt dobrze, a może zbyt rzadko jednak rozmawiają. Sport nie zawsze był też priorytetem w obiekcie przy ul. Szafera. W każdym razie warte podkreślenia jest to, że gdy już KSW gości w Szczecinie, to zawsze jest to wydarzenie na najwyższym poziomie organizacyjnym oraz sportowym.

Jak wyglądały poprzednie gale KSW w Szczecinie? Po raz pierwszy największa europejska federacja mieszanych sportów walki (MMA) gościła w Szczecinie w 2014 roku - wówczas jeszcze w Azoty Arenie. Na trybunach 7 tysięcy widzów, a w karcie walk KSW 28: Fighter's Den było sporo gwiazd. Kibice byli świadkami 10 pojedynków i w aż 6 z nich oklaskiwali zawodników z regionu. Walczyli Kamil Gniadek (porażka), Maciej Parcheta



FOT. KSW FOTO

Tomasz Romanowski (Berserker's Team Szczecin) po zwycięstwie w hali Netto Arena podczas gali XTB KSW 78. Pokonał wówczas Radosława Paczuskiego na punkty

(zwycięstwo), Rafał Moks (zwycięstwo), Maciej Je-wtuszek (zwycięstwo), Michał Materla (zwycięstwo) oraz Karol Bedorf (zwycięstwo). Wówczas Berserker's Team Szczecin miał w swoich szeregach największą liczbę mistrzów KSW.

Kolejne wydarzenie, już w Netto Arenie, to KSW 66, które oglądało 5700 widzów. Gala odbyła się w styczniu 2022 roku po wielu latach przerwy. Z lokalnych wojowników obejrzelismy Gracjana Szadzińskiego (zwycięstwo), Wojciecha Janusza (zwycięstwo), Michała Materlę (zwycięstwo) oraz Tomasza Narkuna. Ten ostatni walczył o pas kategorii półcięż-

kiej, ale przegrał wówczas przez decyzję sędziów.

Rok później, w styczniu 2023 roku, w Netto Arenie odbyła się gala XTB KSW 78, a walką wieczoru był drugi pojedynek Materli i Kendalla Groova. Materla wygrał ten pojedynek, a przed własnymi kibicami prezentowali się m.in. Oskar Szczepaniak (zwycięstwo), Łukasz Sudolski (porażka) czy Tomasz Romanowski (zwycięstwo). Ten ostatni zawodnik jest łącznikiem pomiędzy ostatnią galą KSW w Szczecinie, a najbliższą.

W walce wieczoru XTB KSW 112 zobaczymy dwóch czołowych zawodników wagi piórkowej - Patryk Kaczmarczyk (12-3)

zmierzy się z Adamem Soldavem (10-2). Stawką pojedynku będzie tymczasowy pas mistrzowski 65,8 kg.

Tomasz Romanowski (18-11), były pretendent do tytułu mistrzowskiego, po dłuższej przerwie, ponownie stanie w klatce. Rywalem będzie Belg Alain Van De Merckt (9-1). Na karcie głównej mamy też starcie: Marcin Held (30-10) - Marian Ziółkowski (25-10-1). W części głównej zobaczymy m.in. Wojciecha Janusza (14-8) z Cedriciem Lushimą (6-1), we wstępnej Wojciecha Kawę (9-3) z Hugo Deux (5-1). Romanowski, Kawa oraz Janusz reprezentują lokalną scenę. Więc to starcia szczególne.

Wyjazdy, wyjazdy i jeszcze raz wyjazdy. Do obejrzenia derby regionu w III lidze

Maurycy Brzykcy
sport@gs24.pl

ZAPOWIEDŹ. Kibice ligowi w weekend mogą sobie odpocząć. Nasze ekipy czekają niemal same wyjazdy.

LIGA CENTRALNA/PIŁKA RĘCZNA KSPR Gwardia Koszalin - Sandra Spa Pogoń Szczecin, piątek, godz. 19 Sandra Spa nie zwalnia tempa! Po ośmiu kolejnych zwycięstwach szczecinianie jadą do Koszalina, by podtrzymać imponującą serię i umocnić się w czołowej tabeli.
PUCHAR POLSKI KIBIET

Włóknarz Białystok - Pogoń Szczecin, niedziela, godz. 18.30

Mecz 1/16 finału Orlen PP zapowiada się jak prawdziwe święto kobiecej piłki w Białymstoku. Gospodynie podejmą ekstraklasową Pogon, która przyjeżdża jako faworyt, ale z pełnym szacunkiem do rywalek.

LIGA CENTRALNA/PIŁKA RĘCZNA Sambor Tczew - SPR Pogoń Szczecin, sobota, godz. 15

Szczecinianki po czterech porażkach z rzędu jadą do Tczewa, by wreszcie się przełamać. W Radomiu pokazały poprawę i chcą to potwierdzić w starciu z Sam-

borem, który po serii zwycięstw ostatnio przegrał w Poznaniu.

BETCLIC 2. LIGA PIŁKARSKA Olimpia Grudziądz - Świt Szczecin, sobota, godz. 16

Świt Szczecin po trzecim z rzędu zwycięstwie w lidze jedzie do Grudziądza. Olimpia po remisie z Hutnikiem będzie szukać przełamania, ale szczecinianie są w wysokiej formie i celują w kolejne trzy punkty.

1. LIGA KOSZYKARZY Miners Katowice - PGE Spójnia Stargard, sobota, godz. 17.00

Po zaciętym spotkaniu i porażce z Resovią stargardzianie ruszają na południe Polski. W Katowicach zmierzą się z ekipą Miners, która na własnym parkiecie potrafi być bardzo groźna.

1. LIGA FUTSALU Bonito Białystok - Futsal Szczecin, sobota, godz. 19

Obie drużyny po dotkliwych porażkach szukają przełamania. Gospodarze zmagają się z problemami kadrowymi, a szczecinianie chcą zmażyć plamę po porażce 0:5. To starcie może mieć duże znaczenie dla układu dolnej części tabeli.

III LIGA PIŁKARSKA

W III lidze czekają nas derby naszego regionu. W sobotę o godz. 13.30 Flota Świnoujście podejmie Błękitnych Stargard. Kluczevia Stargard zagra natomiast przed własną publicznością z Wikędem Luzino (niedziela, godz. 13), licząc na podtrzymanie dobrej formy po wysokiej wygranej z Polonią Środa Wielkopolska. Rezerwy Pogoni Szczecin w ten weekend pauzują - ich mecz z Wybrzeżem Rewalskim Rewal przełożono na 26 listopada z powodu powołań do reprezentacji.



FOT. CUBAIDUK PHOTOGRAPHY / SANDRA SPA POGON

Sandra Spa Pogoń zagra już dzisiaj w Koszalinie

PULS

#190

Depresja nie jest lenistwem. Najbardziej rani unieważnianie,
mówienie, że trzeba wziąć się w garść i wszystko minie
Str. 4-5



40 lat temu wykonano pierwszą w Polsce udaną transplantację serca. Rocznicę przełomowego sukcesu polskiej medycyny mogła świętować Warszawa. Nie udźwignęła jednak geniuszu i determinacji młodego docenta Zbigniewa Religi. Na to, czego nie chcieli w stolicy, otworzył się Śląsk, górnicze Zabrze

Marlena Polok-Kin

SERCE DO SERCA. PIERWSZY UDANY PRZESZCZEP



62-letni rolnik z Krzepic był pierwszym pacjentem z przeszczepionym sercem w Zabrzu

Karetka z dawcą - dwudziestokilkuletnim Włodzimierzem, u którego po wypadku samochodowym stwierdzono śmierć pnia mózgu - mknęła z Warszawy do Zabrze. Po drodze, ze względu na reglamentację towarów, miała problem z zatanowaniem.

W Wojewódzkim Ośrodku Kardiologii w Zabrzu (dziś Śląskie Centrum Chorób

Serca) trwały przygotowania do transplantacji. Pierwszej w historii ośrodka. Serce dawcy miało trafić do 62-letniego rolnika z Krzepic, pacjenta z niewydolnością serca.

Informacje o tym, że to właśnie serce młodego mężczyzny nadaje się idealnie dla przygotowanego do przeszczepu pacjenta, przekazują docentowi Relidze jego koledzy ze szpitala Wolskiego z Warszawy. - Polecieliśmy do Warszawy śmi-

głowcem. Po rozmowie profesora z matką chłopaka przewieźliśmy go do Zabrze. Wtedy operacje odbywały się sala w salę. Przecieraliśmy nieodkryte jeszcze szlaki - opowiadał w rozmowie z DZ dr Jerzy Wołczyk, który razem z Religą przyjechał na Śląsk, do ówczesnego Wojewódzkiego Ośrodka Kardiologicznego. - Dziś serce przewożymy w specjalnych pojemnikach. Wtedy do Zabrze przywieźliśmy pacjenta.

Punktualnie o 7.15 pierwszy zespół chirurgów przystępuje do pobrania serca od dawcy.

Operację prowadzono na dwóch salach jednocześnie. W pierwszej przygotowywano biorcę, a w drugiej pobierano serce od dawcy.

- Wchodzę do pracy, zwykły dzień, pogoda fatalna, chmury, siąpi deszcz. Religa mówi: będzie przeszczep. Już wiedziałem, że nie wrócę do domu przynajmniej przez dwa dni.

Pacjent był w krytycznym stanie. Dawcę przywieziono z Warszawy. Religa jechał osobiście, żeby go przytransportować do Zabrze w idealnym stanie - opowiadał tuż przed rocznicą prof. Andrzej Bochenek w wywiadzie dla PAP. - Transplantacja zaczęła się po południu, raczej późnym popołudniem. W sali obok Religa i Marian Zembala pobierali serce. Ja z zespołem przygotowywaliśmy biorcę. W pewnym momencie Religa wchodzi i niesie serce w metalowej miseczce z lodem. Na stopach miał chodaki, takie na grubej, gładkiej podeszwie. Spojrzałem na niego i przez myśl mi przemknęło: byleby się tylko nie poślizgnął, ale na szczęście nie.

Serce więc osobiście przeniósł z sali do sali Zbigniew Religa. Następnie zaczął łączyć naczynia krwionośne. Jak wspominają jego współpracownicy - był przygotowany perfekcyjnie. Wcześniej ćwiczył na zwierzętach, pochłoniął całą dostępną literaturę.

Relidze asystował zespół lekarzy: Andrzej Bochenek, Jerzy Wołczyk, Marian Zembala i Bogusław Ryfiński. Cały zespół, który przeprowadził transplantację 5 listopada 1985 roku, tworzyli: Jan Brzozowski, Bogdan Kominek, Weronika Szuapka, Jolanta Stożek, Małgorzata Kłósiewicz, Bożena Kolano (podajemy za Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu).

Jak wspominał po latach prof. Bochenek, dzień zlewał się z nocą, poczucie czasu znikło. Lekarzom i pielęgniarce sił przy operacyjnym stole dodawała adrenalina. Wszyscy mieli świadomość wyjątkowego wydarzenia, w którym uczestniczyli, tworzyli historię polskiej medycyny.

Kilkunastogodzinna operacja zakończyła się sukcesem. Po zdjęciu klem, służących do tymczasowego zatrzymania krążenia krwi, serce zaczęło bić.

W szpitalu zapanowała euforia. Na jednym z archiwalnych nagrań widać, jak zespół podraża ze szczęścia doc. Zbigniewa Religę. Medycy wyglądają na zmęczonych, ale nie zwykle szczęśliwych.

- Do końca nie wierzyłem, że to możliwe. Odetchnąłem w momencie, kiedy serce zaczęło bić. Uważałem, że to wielki sukces, ale miałem z tyłu głowy, że przed nami jeszcze długa walka o pacjenta - powiedział prof. Andrzej Bochenek.

Z sali, w której świętowano, jak wspominają uczestnicy wydarzeń sprzed lat, co chwilę ktoś wychodził. Trzeba było bez przerwy doglądać pacjenta. Dyżur pełniono przy jego łóżku 24 godziny na dobę.

Prof. Andrzej Bochenek ocenił, że były to bardzo trudne czasy. - Pacjent miał skazę krwotoczną, krwawił, brakowało krwi. Trzeba było sprowa-

dzić żołnierzy, którzy oddawali krew do transfuzji - podkreślił. Wskazał, że brakowało leków, sprzętu oraz możliwości analitycznych.

- To było dla nas nowe i niesamowite odkrycie. Przecieraliśmy szlaki i byliśmy tego świadomi - opowiadał nam po latach prof. Marian Zembala. Wszystko było pierwsze - widok serca pobranego, widok pustej klatki po wycięciu serca uszkodzonego. - Do tych obrazów dojrzewaliśmy przy kolejnych przeszczepach. Poruszające się nowe serce ma w sobie jednak pewną tajemnicę, jakby zmartwychwstania, niepojętą, ale namacalną. Taką prawdziwą - dodawał Zembala. - Zawsze to czuję, gdy zaczyna bić w kolejnym pacjencie - mówił.

Operacja rolnika z Krzepic trwała kilkanaście godzin.

- Dzień zmieszał się nam z nocą - wspominał prof. Bochenek. Cały zespół nie wychodził ze szpitala przez cztery dni.

W WOK-u panowała euforia zmieszana z niepewnością. Wszyscy czuli ciężar tego zabiegu, odpowiedzialność. Niestety, w szóstej dobie u chorego pojawiły się powikłania - niewydolność nerek, zatrzymała się diureza, zbyt szybko narastał poziom potasu. Chory stracił świadomość. Siódmego dnia dołączyły się zaburzenia krzepnięcia. Tego zabrzańskiego zespołowi nie udało się już opłamać. Ósmego dnia pacjent niestety zmarł.

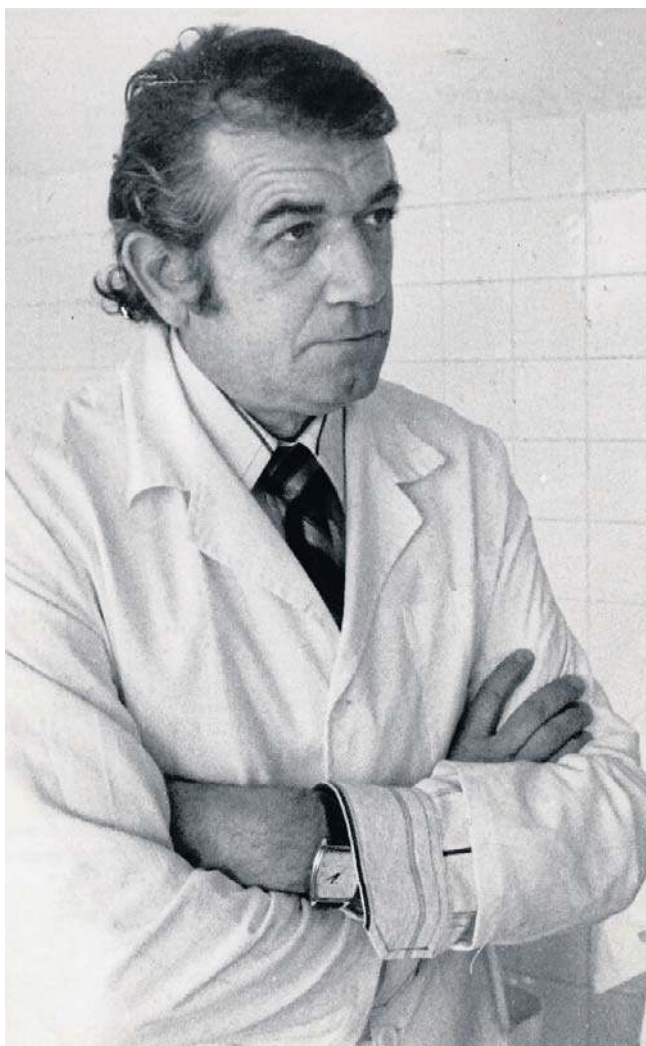
Religa nie poddawał się, był zdeterminowany na ratowanie pacjentów, którzy przy ówczesnym stanie polskiej kardiologii byli skazani na śmierć.

- Był prawdziwym taranem. Kiedy pacjentów ubywało, bo ginęli, a dawców brakowało, on się nie poddawał. Mówił: nie możemy przegrać. Gdyby nie jego upór, może nigdy byśmy nie zrobili kolejnego przeszczepu po tym pierwszym, de facto nieudanym, bo pacjent przeżył tylko osiem dni. Jednak on szedł dalej, nie bał się porażki - mówił w wywiadzie dla PAP tuż przed 40. rocznicą przeszczepu prof. Bochenek.

Dziennikarze na sali

Pierwszej udanej transplantacji serca w Polsce przyglądała się z bliska ówczesna dziennikarka „Trybuny Robotniczej” Elżbieta Karalińska. Trafiła tam przez przypadek - przyjechała na rozmowę z dyrektorem Wojewódzkiego Ośrodka Kardiologii prof. Stanisławem Paśkiem.

- Gdy na miejscu dowiedziałam się, że operacja trwa, poprosiłam - wówczas jeszcze docenta - Zbigniewa Religę o możliwość wejścia na salę. Docent zgodził się z uśmiechem, ale musiałam osobiście przyrzec, że nie zemdleję. Przyrzekłam - wspominała Elżbieta Karalińska. Na sali spędziła około trzech godzin. Tekst, który ukazał się później w „Trybunie Ro-



FOT. ZYGMUNT WIECZOREK

Zbigniew Religa potrafił stworzyć wyjątkowy zespół

botniczej” – w nakładzie 1,2 mln egzemplarzy – zaczęła od zdania: „Chirurgiczny skalpel w dłoni docenta Zbigniewa Religi porusza się szybko i pewnie”.

Elżbieta Karalińska opisała zarówno sukces medyków, jak i towarzyszące im problemy. Została poproszona, żeby wspomnieć o ich dziurawych spodniach, braku pralni i zaplecza socjalnego oraz problemach z liczbą zatrudnionych salowych. Relacjonowała dzień po dniu stan zdrowia pacjenta.

– Prof. Zbigniew Religa nie unikał kontaktów z dziennikarzami. Wręcz przeciwnie. Po swoim powrocie ze stypendium w Stanach Zjednoczonych wiedział doskonale, jak istotną rolę – również w medycynie – odgrywa promocja i wsparcie mediów – podkreśliła.

Transplantacji przyglądał się również Aleksander Trzaska z Polskiego Radia Katowice.

Skoczylibyśmy za nim z trzeciego piętra

Zbigniew Religa studia medyczne ukończył w 1964 roku. Dwa lata później rozpoczął pracę w Szpitalu Wolskim w Warszawie. Tam też uzyskał pierwszy i drugi stopień specjalizacji lekarskiej z chirurgii, a w 1973 roku obronił doktorat. Dwukrotnie wyjeżdżał do USA, gdzie odbył staże w zakresie chirurgii naczyniowej i kardiologii. Po powrocie do kraju pracował w Instytucie Kardiologii

był perfekcyjnie przygotowany do podjęcia ryzyka. Zdeteminowany.

Jak wspominał Religa w wywiadach, jego szef w warszawskim szpitalu, prof. Wacław Sitkowski ze Szpitala Wolskiego, nie chciał słyszeć o przeszczepach.

„Sitkowski miał do emerytury jeszcze z dziesięć lat! Ja chciałem być niezależny, stworzyć taki zespół, jaki sobie wymyśliłem, i robić te przeszczepy” – mówił Religa w jednym z wywiadów. Warunki do spełnienia wszystkich jego zamierzeń otworzyły się w górniczym mieście na Śląsku – w Zabrze, w ówczesnym Wojewódzkim Ośrodku Kardiologicznym.

Religa był gotów rzucić wyzwanie także swoim kolegom, którzy odradzali mu przeprowadzenie transplantacji. W pamięci mieli ciągle nieudany przeszczep, jakiego w 1969 roku dokonali profesorowie Jan Moll i Antoni Działkowiak. Zaledwie trzy lata wcześniej (w 1966 roku) prof. Jan Nielubowicz jako pierwszy przeszczepił nerkę.

Gdy młody docent Religa zaczął przygotowywać się do transplantacji, obawiano się, że porażka – jak wieszczono w środowisku – młodsze kolegi na wiele lat wstrzyma kolejne zabiegi. Nie było już jednak takiej siły, która mogłaby Religę zatrzymać, Zabrze otworzyło przed nim te możliwości. I – jak zawsze podkreślał – znakomici, pracownicy, pełni pasji ludzie sprawili, że mógł swoje zamierzenia zrealizować.

Zespół, ludzie. To na nich stawiał przez całe zawodowe życie, był wymagającym, ale wspierającym i stawiającym wysokie poprzeczki przede wszystkim sobie – szefem. Wówczas w Zabrze Relidze



FOT. ZYGMUNT WIECZOREK

Zespół był w euforii, z poczuciem, że wydarzyło się coś wyjątkowego. Przez kilka dni medycy nie opuszczali szpitala. Zabiegiem żył cały personel WOK

udało się zebrać fantastyczny zespół. To właśnie, oprócz jego determinacji i osobistej odwagi, przyniosło sukces.

– Gdyby nam powiedział, że wszyscy teraz skaczemy z III piętra i nic nam się nie stanie, to myślę – skoczylibyśmy za nim – mówiła w okolicznościowym filmie, przygotowanym przez Śląskie Centrum Chorób Serca w Zabrze, jedna z uczestniczących w tamtych wydarzeniach pielęgniarek, Judyta Solorz.

– Byłem na stypendium w Wielkiej Brytanii, gdy od kolegi Władka Pluty otrzymałem list, w którym napisał: „Wracaj. Jest u nas Religa” – wspominał prof. Andrzej Bochenek.

Jak opowiadał nam, do Religi poszedł wprost z ulicy. – Profesor mówił wtedy, że nie ma zastępcy. Odpowiedziałem beczelnie, prosto z mostu, że mogę zostać jego zastępcą, jak się tylko zgodzi – wspominał. Religa bez wahania powiedział – „tak” i dzięki temu Bochenek

został w Zabrze i mógł uczestniczyć w historycznych operacjach, które otworzyły świat przed polską medycyną.

„Transplantacja serca to już nie eksperyment”

W ciągu 40 lat zabrzańscy lekarze przeprowadzili 1108 transplantacji serca, w tym 161 transplantacji u dzieci. Najmłodsze miało siedem tygodni, najstarszy pacjent miał ponad 70 lat. Śląskie Centrum Chorób Serca w Zabrze jest pod tym względem wiodącym ośrodkiem kliniczno-naukowo-szkoleniowym w Polsce.

– Transplantacja serca to już nie eksperyment. Dzisiaj to rutynowa metoda leczenia ze świetnymi wynikami – powiedział prof. Piotr Przybyłowski, dyrektor Śląskiego Centrum Chorób Serca.

Jak zaznaczył, 90 proc. pacjentów po transplantacji serca przeżywa ponad rok, 70 proc.

ponad pięć lat, a 50 proc. ponad dziesięć lat.

W 40. rocznicę pierwszej udanej transplantacji w Polsce – wykonanej przez Zbigniewa Religę w Zabrze – Uniwersytecki Szpital Kliniczny im. Jana Mikulicza-Radeckiego we Wrocławiu poinformował na swoim profilu na FB, że tego dnia przeszczepiono dwa serca. Jak napisał w środę 5 listopada szpital na swoim profilu: „Oba wydarzenia łączy osoba dr. Romana Przybylskiego, prof. UMW, który przed laty, jako młody lekarz, był w zespole prof. Religi, a teraz kieruje Oddziałem Kardiologii Instytutu Chorób Serca. – Dziś niektórzy otwierają szampany, aby świętować jubileusz, a my otworzyliśmy klatkę piersiową, aby ratować życie kolejnym pacjentem – mówi kardiolog”.

Przy okazji wyjaśnijmy: słynne, znakomite zdjęcie wykonane dla „National Geographic” przez Jamesa Stanfielda nie jest zdjęciem z pierwszego udanego przeszczepu serca w Zabrze. Na pierwszym planie widać siedzącego wybitnego kardiologa, na drugim, w kącie sali – jego asystenta perfuzjonistę (obecnie profesora) Romualda Cichonia. Zdjęcie uznano za jedno ze 100 najlepszych fotografii w historii magazynu „National Geographic”. Zdjęcie pochodzi z sierpnia 1987 r., zostało zrobione tuż po zakończeniu jednej z kolejnych operacji przeszczepu serca. Obiegło cały świat. Stało się ikoniczne. Pacjentem na stole był, jak się po latach okazało, najdłużej żyjący w Polsce z przeszczepionym sercem, Tadeusz Żytkiewicz. Żył po przeszczepie trzydzieści lat. Zmarł w 2017 roku. Miał wówczas 91 lat. Przeżył prof. Zbigniewa Religę o osiem lat. Wybitny kardiolog zmarł 8 marca 2009 roku.

Współpraca: Patryk Osadnik (Korzystałam w tekście z art. archiwalnych DZ autorstwa red. Agaty Pustulki)



FOT. ZYGMUNT WIECZOREK

Pamiątkowe zdjęcie zespołu wykonane po przeszczepie w Wojewódzkim Ośrodku Kardiologicznym w Zabrze

Możesz mieć gorszy dzień, ale kiedy konkretne objawy trwają co najmniej dwa tygodnie, to najprawdopodobniej chorujesz na depresję. Co dziś o niej wiemy, co działa w leczeniu i co w Polsce jest naprawdę dostępne – mówi dr Piotr Krawczyk, psychiatra, autor książki „Zrozumieć depresję”

Anita Czapryn

DR PIOTR KRAWCZYK: DEPRESJA NIE JEST LENISTWEM. NAJBARDZIEJ RANI UNIEWAŻNIANIE

Jaka jest pana definicja depresji?

Taka, jaka obowiązuje w tej chwili, a wypracowana jest od dawna w oparciu o różnego rodzaju dane i konsensus. Ta definicja mówi, że depresja to zaburzenie psychiczne polegające na występowaniu kilku objawów; w zależności od szczegółów mówimy o dziewięciu albo dziesięciu, z których nie wszystkie muszą wystąpić naraz, by spełnione były kryteria. Te objawy są bardzo konkretne i muszą pojawiać się niemal codziennie przez co najmniej 14 dni.

Jakie to objawy?

Można je podzielić na główne i dodatkowe. Do głównych należą obniżenie nastroju, czyli nastrój depresyjny, w skrócie możemy powiedzieć smutek czy przygnębienie, oraz utrata zdolności do odczuwania przyjemności albo jej zmniejszenie, inaczej mówiąc: spadek zainteresowań i czerpania radości z przyjemności. Do pozostałych objawów należą między innymi zaburzenia koncentracji, poczucie niskiej wartości, utrzymujące się poczucie winy, zaburzenia snu, zaburzenia apetytu, a także obniżenie energii, a mówiąc nietylko technicznie: duże zmęczenie.

W swojej książce „Zrozumieć depresję” pisze pan we wstępie, że to jedna z najczęstszych, ale też najbardziej niezrozumiałych chorób. Jest powszechna – może dotknąć każdego, niezależnie od płci, wieku czy momentu życia. Czego wciąż o depresji nie wiemy?

Wydaje mi się, że nie wiemy wielu rzeczy, natomiast nie chcę wpadać w pesymistyczne tony ani filozofować. Nawiązując do tego, co pani zacytowała, depresja jest niezrozumiała dlatego, że należy do zaburzeń emocji. Z jednej strony wszyscy mamy emocje, więc wy-

dają nam się one codziennie, ale kiedy się zaburzają, niekoniecznie potrafimy je rozpoznać; to może umykać naszej uwadze. Z drugiej strony rozpoznawanie emocji nie jest czymś, z czym człowiek się rodzi; tego się uczymy, od bliskich i od reszty ludzi. W związku z tym czasem mamy trudność z rozpoznawaniem świata emocjonalnego. Dlatego depresja, moim zdaniem, jest tak trudno rozpoznawalna i tak niezrozumiała.

Słyszymy o różnych rodzajach depresji, np. poporodowej. Czy są jeszcze jakieś inne? Na przykład depresja alkoholowa?

O alkoholowej nie słyszałem. Generalnie jest zasadnicza różnica między szeroko rozumianym, ogólnym pojęciem złego samopoczucia a depresją. Depresja to jednak bardzo konkretne zjawisko. Ono czasem jest trudne do zdefiniowania albo do znalezienia u danego pacjenta, ale pozostaje zjawiskiem konkretnym. Co do jej rodzajów, to stoję na stanowisku, że jeśli przyjmujemy definicję, którą podałem, to depresja jest jedna. Trwają na ten temat bardzo duże spory. Myślę, że to dobrze, że tak się dzieje, ale formalnie depresja jest jedna. Natomiast może mieć różne aspekty. Możemy zobaczyć, że niektóre depresje pojawiają się w jakimś konkretnym czasie, na przykład zaraz po porodzie albo o danej porze roku. W tym pierwszym wypadku mówimy o depresji poporodowej i rzeczywiście taki rodzaj, czy podtyp depresji, istnieje. W tym drugim mówimy o depresji sezonowej, czyli ogólnie mówiąc o sezonowym zaburzeniu nastroju, i taki podtyp też istnieje.

I on dotyczy właśnie tej pory roku, która nadeszła, czyli jesieni?

Dobre pytanie. Tak to kojarzymy i wydaje się, że najczęściej rzeczywiście depresja sezonowa pojawia się jesienią. Natomiast to wcale nie jest takie oczywiste. Badania, ale też i moje doświadczenie, pokazują, że są osoby, które chorują na depresję co roku albo niemal co roku, ale na przykład tylko latem albo tylko wiosną, i dla nich to jest charakterystyczne. Jeżeli jednak spojrzymy z lotu ptaka na ogólną populację, to rzeczywiście jesień jest czasem najtrudniejszym. Jesień i zima.

Skąd się bierze depresja?

To dobre pytanie, ale też trudno na nie znaleźć jednoznaczną odpowiedź. Mam pewne pomysły, natomiast z całą pewnością muszę powiedzieć, że nie ma jednej przyczyny. Nie da się też wskazać jakichś konkretnych, uniwersalnych przyczyn. W wypadku każdego człowieka, który przyjdzie do lekarza psychiatry, możemy spróbować ustalić dla niego właściwe przyczyny. Jeśli jednak chodzi o ogólne sformułowanie przyczyn, to mamy pewne trudności, bo jest ich kilka. Jest na przykład znana od lat 70. tzw. hipoteza neuroprzekaznikowa, która zakłada, że w mózgu osoby chorującej na depresję dochodzi do pewnej nierównowagi, niedoboru pewnych substancji chemicznych zwanych neuroprzekaznikami, które są potrzebne do zdrowego funkcjonowania mózgu i umysłu. To

hipoteza jedna z wielu, dlatego że wiemy, iż nie wyjaśnia bardzo wielu innych zjawisk w ramach depresji. Nie wyjaśnia też do końca pewnych tajemnic związanych z leczeniem. Jak na przykład z tym, że niektóre leki działają, a inne nie. Inną hipoteza to genetyka: widzimy, że depresja pojawia się w obrębie rodzin; jeśli w rodzinie chorują osoby na depresję, to zwiększa się ryzyko, że kolejne osoby też zachorują. Jednocześnie nie udało się ustalić żadnych konkretnych genów; na pewno można powiedzieć, że nie mamy genu depresji. Wydaje się, że to coś bardzo skomplikowanego i wielogenowego. Inną potencjalną hipotezą jest hipoteza zapalna, która mówi, że pewne substancje zapalne, różnego rodzaju cytokiny, tzw. interleukiny i inne substancje chemiczne, mogą mieć wpływ na mózg. Znamy je, bo odczuwamy ich efekt, kiedy jesteśmy np. przeziębieni. Wtedy czujemy zmęczenie, boli nas ciało i mięśnie, mamy gorączkę. One w depresji nie wywołują przeziębienia ani gorączki, ale mogą się pojawiać i wiemy, że wykładniki stanu zapalnego w depresji są podwyższone. To są przyczyny, które wymieniłem, ale jest co najmniej kilka innych: jest choćby przyczyna „kortyzolowa”, związana ze stresem.

Jakich odpowiedzi szukają u pana chorzy na depresję, a jakich ich bliscy? Czy to się różni?

Trochę może się różnić. Chodzi na depresję zadają bardzo różne pytania i starałem się na nie odpowiedzieć w książce. Napisałem ją, mając w głowie przede wszystkim pacjentów, którzy do mnie przychodzą, i pytania, które zadają. To są pytania, które ostatecznie sprowadzają się do tego, czy wyzdrowieją i to jest pytanie sensowne. Wtedy wspólnie się zastanawiamy, skąd się u nich depresja wzięła, jak mogą sobie pomóc; takie pytania też padają. Natomiast rodziny reagują bardzo różnie. Można powiedzieć, że część rodzin nie jest zainteresowana zadawaniem pytań i to jest coś, co chciałbym, żeby uległo poprawie. Te rodziny, które pytają, to na przykład pytają o to, czy one jakoś zawiniły, czy przyczyna leży w nich, a z drugiej strony pytają, jak mogą pomóc.

Czy jest coś, co w rozmowie o depresji odstrasza? Czy bliscy boją się o niej rozmawiać?

Myślę, że w rozmowie o depresji jest trochę tematów tabu. Wynikają z tego, co dzieje się w mediach społecznościowych i w ogóle z tego, co wiemy o depresji, albo co nam się wydaje, że wiemy. Pierwszy temat to sytuacja, kiedy rodziny mówią, że rozumieją, iż ktoś choruje na depresję, ale nie potrafią zrozumieć, że leczenie jest tak skomplikowane i może trwać długo. Nie bardzo rozumieją, że osoba chora rzeczywiście nie ma siły, na przykład przez kilka miesięcy.

Że to nie depresja, tylko lenistwo?

Tak. I bliscy wiedzą, że to trochę niefajnie zadawać pytania tego typu, ale je zadają. To dobrze, można zadawać takie pytania. Inne obawy rodzin to wątpliwość, czy jeśli zaczną rozmawiać z osobą chorującą

o depresji, to nie wywołają pogorszenia jej stanu: czy samo używanie słów „smutek”, „przygnębienie”, „płacz” nie sprawi, że ta osoba poczuje się gorzej. To jest z jednej strony wyraz troski, a z drugiej zupełnie nieuzasadniona obawa. Tematem tabu są też oczywiście myśli samobójcze i różnego rodzaju gesty samobójcze, które mogą się zdarzać u osób z depresją. Natomiast można o nich rozmawiać i umiejętna rozmowa jest bardzo pomocna.

Pisze pan w książce, że myśli o śmierci nie zawsze stanowią objaw tej choroby. Gdzie jest granica, po której natychmiast trzeba reagować?

Jeśli pyta pani o to, kiedy powinniśmy reagować my, osoby niechorujące na depresję, to myślę, że reagowanie może mieć różne postaci. Jeżeli mamy osobę bliską, która mówi nam, że nie chce żyć, to adekwatną reakcją jest zapytać ją o samopoczucie i ustalić, o co tak naprawdę chodzi: „Dlaczego nie chcesz żyć?”. Natomiast jeżeli ta osoba, która choruje na depresję, mówi, że właściwie nie widzi żadnego sensu i chciałaby popełnić samobójstwo, to reakcja powinna być mocniejsza. Mamy możliwość pójścia z tą osobą do psychiatry albo nawet wezwania karetki i często to bywa bardzo pomocne, szczególnie w sytuacjach zagrażających, kiedy widzimy, że ta osoba przygotowuje się do podjęcia próby samobójczej.

Częściej chorują na depresję kobiety, natomiast samobójstwa częściej popełniają mężczyźni. Dlaczego tak jest?

To pytanie jest badane i częściej mamy już na nie odpowiedź. Kobiety chorują częściej, bo częściej spełniają kryteria depresji. Wydaje się natomiast, że mężczyźni podejmują próby samobójcze czę-

W ROZMOWIE O DEPRESJI JEST TROCHĘ TEMATÓW TABU. WYNIKAJĄ Z TEGO, CO WIEMY O DEPRESJI, ALBO CO NAM SIĘ WYDAJE, ŻE WIEMY



FOT. 123RF

Dr Piotr Krawczyk: Jeśli umysł podpowiada, że szklanka jest do połowy pusta i wszystko jest czarne, trzeba próbować poszukać myśli alternatywnych. To są techniki, które wykorzystują terapeuci

ściej pod wpływem substancji psychoaktywnych, głównie alkoholu, i częściej mają w swojej emocjonalności element autoagresywny oraz większą decyzyjność. Rzeczywiście mężczyźni często wybierają metody odebrania sobie życia, które są zdecydowanie groźniejsze. Między innymi dlatego mężczyźni, którzy podejmują próby samobójcze to częściej są to próby skuteczne.

W książce pisze pan, że depresja to choroba ludzi młodych, ale przecież dotyka też osób przepracowanych, wypalonych pracowników korporacji, samotne matki, a także ludzi starszych i samotnych. Gdzie dziś jest jej najwięcej i jak wpłynęła na to pandemia?

Mamy bardzo mocne statystyki, że pandemia, w swoim najmocniejszym okresie w latach 2020–2021, zwiększyła w niektórych krajach częstość zgłaszania się do psychiatry nawet o 30–40 procent. To był olbrzymi wzrost zachorowań lub rozpoznań depresji. Eksperci zastanawiają się, na ile wpływ miała sama pandemia i stan zagrożenia, który przecież był naprawdę przerażający, a na ile stało się to w związku z pojawieniem się możliwości technologicznych. Nagle okazało się, że możemy odbywać wizyty online i w związku z tym ja również u siebie widziałem grupę pacjentów, która nagle się pojawiła, a sami mówili, że nigdy by nie przyszli do psychiatry,

bo nie przyjechaliby z innych miejscowości, a tak to mogli skorzystać. To było dobre. Jeżeli chodzi o częstość zachorowań i o to, u kogo pojawia się depresja, to takie dane również mamy. Statystyki ogólne mówią, że szczyt zachorowań dotyczy osób w wieku 20–30 lat, a to rzeczywiście są młode osoby. Drugi szczyt zachorowań dotyczy osób dużo starszych: po sześćdziesiątce, a nawet po siedemdziesiątce czy osiemdziesiątce. Natomiast najczęściej jest to choroba osób młodych i w tej chwili również dzieci i młodzieży. U nich depresja pojawia się coraz częściej.

Chciałam też pana zapytać o różnego rodzaju kłamstwa związane z depresją. O jednym już powiedzieliśmy: że bliscy uważają, iż ktoś się leni. Spotkałam się z sytuacją, gdy matka mówiła o synu, że cacka się ze sobą, bo kiedyś człowiek wstawał rano, nie myślał, że mu się nie chce, tylko trzeba było pracować i tyle.

Trudno mi powiedzieć, jak to wygląda w poszczególnych przypadkach, ale jeśli pyta pani ogólnie: jeżeli ktoś choruje na depresję, to z całą pewnością nie jest tak, że on sobie to wybrał albo że jest leniwy. Pacjenci również o to pytają. Pytają wprost, czy może im się coś nie pomyliło albo czy mnie się coś nie pomyliło w diagnozie, bo może oni po prostu są leniwi. Natomiast różnica, nawet słownikowa, między lenistwem a depresją

jest taka, że lenistwo to jednak jakiś rodzaj wyboru. Lenistwo ma odcień pewnej przyjemności, mówimy „poleniuchuję sobie” i dla wielu osób to bywa przyjemne, możemy rzeczywiście wybrać ten stan. Depresja czy inne zaburzenia psychiczne nie są kwestią wyboru. Jeżeli nie możemy rano wstać z łóżka, to nie dlatego, że jesteśmy leniwi, tylko dlatego, że chorujemy na depresję. Większość moich pacjentów chorujących na depresję mówi, że oni by już chcieli wstać z łóżka, chcieliby pójść do pracy, ale nie mają siły. I tak na to odpowiadam.

Albo na przykład boją się leków, bo nie chcą się uzależnić od antydepresantów i mówią o tym sami chorzy. Jak pan by na to odpowiedział?

Jeżeli chodzi o lekarstwa, można używać różnych argumentów i pacjenci często mówią o lęku przed uzależnieniem. Wtedy rozmawiamy o planie leczenia, na przykład: „Spróbujmy leczenia przez pół roku albo dziewięć miesięcy i zobaczymy, co będzie; sprawdzimy też, czy pojawia się jakieś uzależnienie”. Prawda jest taka, że leki przeciwdepresyjne, z punktu widzenia biologicznego i naszych doświadczeń są stosowane od dziesiętek lat. Te starsze to lata 70., a obecnie używane, najnowsze są z końca lat 80. i z lat 90. Mamy więc już około 30 lat użycia tych leków i na razie nic nie wskazuje na to, żeby nawet długotrwałe używanie powodowało uzależnienie. Przez

uzależnienie rozumiemy sytuację, w której człowiek musi używać leków, zwiększać dawki, a efekt jest coraz słabszy; to skrócowa definicja uzależnienia. Tego w przypadku leków przeciwdepresyjnych po prostu nie widzimy.

Dziś są też nowoczesne metody leczenia depresji. Tylko pytanie: co u nas jest realnie dostępne z tych nowoczesnych metod?

To pytanie, przy którym trzeba rozróżnić, co jest w ogóle dostępne, co jest łatwo dostępne, a co dostępne w ramach publicznej ochrony zdrowia. Jeśli chodzi o nowoczesne metody, myślę, że nie skłamię, mówiąc, że mamy dostęp do wszystkiego; mamy pełne możliwości. Te metody, które stosuje się na całym świecie i uznaje za nowoczesne, to na przykład przezczaszkowa stymulacja magnetyczna albo niektóre rodzaje leków, takie jak ketamina. Są też różne odmiany psychoterapii, nowe nurty; to wszystko są narzędzia obecnie dostępne. Najczęściej jednak są dostępne na rynku komercyjnym. Na pewno, jeśli chodzi o stymulację przezczaszkową czy ketaminę, to metody przebadane i obecne w literaturze, ale nie są oficjalnie stosowane jako metody w publicznej ochronie zdrowia. Nowoczesne metody to także leki: mamy dziś bardzo nowoczesne preparaty i coraz nowocześniejsze i one również są dostępne, nawet w publicznej ochronie zdrowia. Tutaj nie

mamy się czego wstydzić. Natomiast w publicznej ochronie zdrowia mamy trochę mniej możliwości technicznych. Przyznam jednak, że byłbym zbyt surowy, gdybym powiedział, że jesteśmy do tyłu; rzeczywiście mamy różne rozwiązania, które, jak mi się wydaje, są w zupełności wystarczające. Problemem jest oczywiście finansowanie, liczba psychiatrów i psychoterapeutów oraz łatwa dostępność świadczeń. Nie jest łatwo znaleźć termin do psychiatry w publicznej ochronie zdrowia. To są wyzwania, które warto przezwyciężać, bo to rzeczywiście może pomóc leczyć depresję. A jeśli chodzi o stronę techniczną i merytoryczną: leki, psychoterapię i inne metody, to mamy tego w Polsce wystarczająco.

Jak pomagać ludziom z depresją? Jak ich pocieszać? Słowa „nie przejmuj się, jutro będzie lepiej” chyba nie zadziałają, podobnie jak „weź się w garść”. Co rani osoby z depresją, a jakie zdania im pomagają?

Myślę, że to wszystko, co pani wymieniła, jest właśnie raniące albo, nawet jeśli nie wprost raniące, to unieważniające. Podstawowa myśl osoby chorującej na depresję brzmi: „Nie będzie dobrze, jest beznadziejnie i nie będzie lepiej”. A tu przychodzi ktoś bliski i mówi: „Źle myślisz, będzie dobrze”. Osoba chorująca odbiera to jako gest unieważnienia, może poczuć się niewysłuchana. Takie wypowiedzi bywają zupełnie nieprzydatne. Tak zresztą kończą się różne relacje: pacjenci mówią mi, że mieli znajomych, ale oni w kółko powtarzali „będzie dobrze”, podczas gdy pacjent czuł, że to nierealne. Mija kolejny miesiąc i nie jest dobrze, więc dla własnego dobra przestaje się do nich odzywać. Często przydatna jest obecność. I ta obecność dla każdego wygląda trochę inaczej. Ja wyobrażam ją sobie tak: jeśli jesteśmy bliskimi osoby chorującej na depresję, to nie warto obchodzić się z nią jak z jajkiem, bo to tacy sami ludzie jak inni. Możemy namawiać na różne rzeczy czy prosić o drobne sprawy, ale z uwagą: jeśli odmówi – nie złośmy się. Biermy pod uwagę, że może nie mieć siły wynieść śmieci czy zrobić zakupów. Pomoc polega na tym, że to uwzględniamy i nie nazywamy tej osoby złą albo leniwą. Jeśli chcemy pomóc, możemy zaproponować wspólne spędzenie czasu: wyjście do kina, na spacer, spotkanie na kawie. Jeśli odmówi, a ma do tego prawo, powiedzmy jej, że nam na tym zależy i że zadzwonimy, na przykład w środę o 18:00. I zrobimy to: zadzwonimy w środę o 18:00, nawet jeśli

rozmowa znów nic nie wniesie, w tym sensie, że będzie podobna do poprzedniej. Osoby chorujące na depresję mówią, że sama obecność, to że ktoś się umówił i dotrzymuje obietnicy, pokazuje im, że są dla kogoś ważne. I to jest bardzo istotne.

Na końcu książki podał pan najważniejsze kroki, które warto podjąć, by sobie pomóc: wizyta u lekarza, ruch, danie sobie prawa do wolniejszego tempa, niewierzenie we wszystko, co podsuwa umysł, leki i szukanie wsparcia. Gdyby miał pan wybrać najważniejsze, niezbędne kroki, to co by pan powiedział?

Trudno wybrać, bo to są wszystkie te, które wymieniałem i dla jednych będzie to robienie kroków, a dla innych próba znalezienia alternatywnej myśli. Ludzie się różnią. Jedni zaczną terapię od ciała: spróbują zmienić dietę, poprawić rytm dobowy, wyjść na spacer i robić kroki. Inni powiedzą: „zaczne od zmiany myślenia”. Jeśli ich umysł podpowiada im, że szklanka jest do połowy pusta i wszystko jest czarne, spróbują poszukać myśli alternatywnych. To są techniki, które wykorzystują terapeuci, więc można w ten sposób pracować. Wydaje mi się, że to zbiór różnych zasad, z których każdy może wybrać i na początek zacząć od jednej z nich.

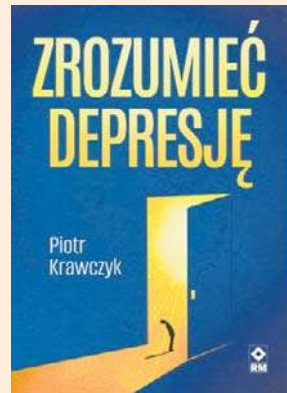
CV



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

Dr Piotr Krawczyk

Lekarz psychiatra z ponad dziesięcioletnim doświadczeniem klinicznym. Pracował m.in. na Oddziale Chorób Afektywnych w Instytucie Psychiatrii i Neurologii oraz w Poradni Psychoonkologii Narodowego Instytutu Onkologii w Warszawie. Autor książki „Zrozumieć depresję”, jaka ukazała się nakładem Wydawnictwa RM.



MAREK BOROWSKI: MARSZAŁEK SEJMU JEST POSTRZEGANY WSZĘDZIE JAKO SYMBOL DEMOKRACJI

Jestem zwolennikiem tego, aby marszałkami Sejmu zostawali ludzie, którzy mają jakiś staż parlamentarny i dali się poznać jako posłowie, dali się poznać także jako ludzie. Znamy ich cechy charakteru. Uważam, że tak powinno być. Czy tak jest? Nie do końca – mówi senator Marek Borowski, marszałek IV kadencji Sejmu

Dorota Kowalska

Jakim marszałkiem był Szymon Hołownia?

Myślę, że dobrym.

Zrobił z marszałkowania małe show, w każdym razie na początku tej kadencji Sejmu, obrady oglądały tysiące Polaków. To był hit na YouTube. Hołownia wprowadził powiew świeżości do polskiego parlamentu.

On przyszedł ze świata, w którym sam uprawiał ten show, więc przeniósł go tutaj, do Sejmu. Jednak gdyby jego marszałkowanie ograniczyło się jedynie do show, nie byłbym zachwycony, ale Hołownia sprawnie prowadził obrady, zwłaszcza w pierwszym okresie tej kadencji, który był dość napięty. Agresja ze strony nowej opozycji, a poprzedniej władzy, była bardzo widoczna. Hołownia potrafił ją rozbrajać. I to się podobało. W dalszej części jego kadencji prowadził Sejm prawidłowo. Patrząc na to od takiej strony formalnej, to znaczy gdybyśmy mieli scharakteryzować, wymienić, jakie zadania stoją przed marszałkiem Sejmu...

No właśnie, jakie to zadania?

Wymieniłbym ich pięć. Po pierwsze, to kierowanie przepływem dokumentów. To są ustawy, uchwały, opinie – cała masa papierów. Tym trzeba kierować: albo przekazywać do komisji, albo na obrady plenarne, albo do zaopiniowania. I to jest ważna część

jego pracy - wstępne decyzje są przygotowywane przez poszczególne biura, ale ostateczną podejmuje marszałek. Drugie zadanie to prowadzenie obrad albo dbanie o właściwy ich przebieg, bo wiemy, że nie prowadzi ich wyłącznie marszałek, także wicemarszałkowie, ale według wytycznych tego pierwszego. Wicemarszałkowie prowadzą obrady w imieniu marszałka. Ten może w każdej chwili, mimo ułożonego wcześniej harmonogramu, przyjść i zmienić wicemarszałka. Więc, on określa sposób prowadzenia obrad. I z tym sposobem prowadzenia wiąże się funkcja rozjemcy. Może nie tylko w Polsce, ale w Polsce szczególnie ze względu na napięcia dość wyjątkowe między rządzącymi a opozycją, ta funkcja marszałka jest niezwykle istotna. Chodzi o to, aby poprzez swoje działania nie doprowadzać do zaburzeń w pracy Sejmu. Mogę przypomnieć sytuację, kiedy marszałkiem był Marek Kuchciński i kiedy ukarał posła Szczerbę. Za nic, właściwie. A to spowodowało bunt w szeregach opozycji, okupowanie mównicy sejmowej. Kuchciński w ogóle nie potrafił się znać w tej sytuacji. Przeniósł obrady do sali kolumnowej. Tam doszło do wielu nieprawidłowości, do łamania reglamentacji Sejmu, to pociągnęło za sobą nawet sprawy sądowe. Sposób prowadzenia

obrad jest bardzo ważny, bo łatwo można doprowadzić do sytuacji patowej, niezwykle trudno rozwiązywalnej.

Trzecie zadanie?

To kontakty międzynarodowe. Marszałek jest jednym z realizatorów polityki zagranicznej Polski. Oczywiście, on się głównie kontaktuje z parlamentami innych krajów, ale przy okazji czasami z premierami, a zdarza się, że i z prezydentami. To też wymaga z jego strony pewnych umiejętności, wiedzy, zdolności. Pamiętam, jak po inwazji (z polskim udziałem) na Irak w 2003 roku, Niemcy i Francja, które inwazję tę uznały za awanturę, przerwały kontakty z naszymi politykami. Wtedy, na prośbę Kwaśniewskiego i Millera, dla ocieplenia stosunków, odbyłem wizyty w Bundestagu i we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. Okazało się to korzystne dla przełamania impasu we wzajemnych stosunkach. Czwarte zadanie to kierowanie tą wielką instytucją, jaką jest Sejm. To coś w rodzaju firmy. To są budyńki, to są ludzie, w Sejmie przecież pracuje ponad tysiąc osób. Rozwiązuje się różne problemy bytowe posłów, pracowników. Ta wielka firma musi działać sprawnie. Aczkolwiek, oczywiście, marszałek ma szefa kancelarii, który się tym zajmuje na co dzień, ale strategiczne

decyzje musi podejmować właśnie on. I wreszcie piąte zadanie to czynności reprezentacyjne. Marszałek jest postrzegany wszędzie jako symbol demokracji, w związku z tym różnego rodzaju organizacje pozarządowe, instytucje chcą, żeby czemuś patronował, gdzieś przyjechał, coś otworzył, przy okazji coś powiedział. To też wymaga jednak jakichś kwalifikacji. Jeżeli spojrzymy na tych pięć punktów, próbując odpowiedzieć na pani pytanie, jakim marszałkiem był - jeszcze jest - Hołownia, to właściwie w każdym z tych punktów - może najmniej mam do powiedzenia o tym, jak kierował Sejmem jako swego rodzaju firmą - ale jeśli chodzi o czynności reprezentacyjne, kontakty międzynarodowe, prowadzenie obrad, kierowanie obiegiem dokumentów, to nie mam uwag do jego pracy.

Marszałek Sejmu jest drugą osobą w państwie. Z czego to wynika?

To bardzo miłe dla każdego marszałka, też bardzo lubiłem, kiedy mówili, że jestem drugą osobą w państwie, ale prawda jest trochę inna. Z czego to się bierze? Z tego, że konstytucja mówi, iż w przypadku, gdy prezydent nie jest w stanie wykonywać swoich funkcji, to w tę rolę wchodzi marszałek. I tak na marginesie, raz to się zdarzyło.

Po katastrofie smoleńskiej. Tak, po katastrofie smoleńskiej Bronisław Komorowski objął funkcję prezydenta, praktycznie będąc także marszałkiem. Poza tym, jest coś takiego jak precedencja. W języku dyplomatycznym precedencja to kolejność witania, związana jak wiadomo z hierarchią. I teraz kolejność witania u nas jest taka, że najpierw wita się prezydenta, mimo że więcej do powiedzenia ma premier, ale wita się prezydenta jako pierwszego. Ponieważ marszałek go zastępuje, jak go nie ma, to drugiego wita się marszałka. A jeżeli marszałek Sejmu nie może być na uroczystości, to w jego miejsce wchodzi marszałek Senatu, wtedy trzeciego wita się właśnie jego i dopiero czwartego wita się premiera. Ma to charakter dosyć ceremonialny. Natomiast, tak naprawdę gdybyśmy mówili o tych osobach z punktu widzenia ich zakresu władzy, to na pewno na pierwszym miejscu byłby premier, na drugim prezydent, a dopiero na trzecim marszałek.

Zauważyłam, że politycy chcą być marszałkami, jest swoisty ciąg na to stanowisko?

Jest także ciąg na stanowisko prezydenta.

Premiera też!

Z premierem to już różnie bywa. Tutaj takiej kolejki chętnych to nie ma. Dlaczego? Z bardzo prostego powodu: z funkcją w rządzie, jaka by nie była, wiąże się ogromna odpowiedzialność. Za błędy można zapłacić karierą albo nawet więzieniem.

Nicolas Sarkozy kilka tygodni temu poszedł do więzienia.

A w Polsce mamy dzisiaj ileś tam aktów oskarżenia przeciwko politykom, którzy wchodzili w skład rządu. Więc do kogoś takiego mówią: „panie premierze”, „panie ministrze”, kłaniają się. Ktoś taki ma dużą władzę, jeśli chodzi na przykład o rozdział stanowisk, ale za chwilę okazuje się, że ponad połowa Polaków go nie znosi i przy najbliższych wyborach nie wejdzie do Sejmu, nie mówiąc już o rządzie. W przypadku prezydenta odpowiedzialność jest już znacznie mniejsza. Prezydent na dobrą sprawę może zawetować ustawę, może sobie ustawę przygotować, a poza tym jeździ, wypowiada się, reprezentuje. Nasz prezydent to nie jest prezydent Francji ani prezydent Stanów Zjednoczonych, który jest odpowiedzialny za pracę rządu. W trzeciej kolejności powstałbym marszałka Sejmu, który żadnej konkretnej odpowiedzialności za akty prawne nie ponosi. On ich nie przygotowuje, one od niego nie zależą. Oczywiście może sobie

popsuć karierę polityczną, tak jak to zrobił Marek Kuchciński, jeśli okaże się wyjątkowo niezdarny albo tendencyjny w fotelu marszałka. Ale generalnie rzecz biorąc, jest to funkcja, która pozwala osiągnąć to, na czym politykowi zależy, mianowicie: popularność, ogólnopolską rozpoznawalność, zbytnio nie podpadając społeczeństwu. W związku z tym, zwłaszcza jeśli są rządy koalicyjne, jest kilka partii, które decydują o wyborze marszałka, to w zasadzie każda z nich na wystąpienie palca wystawi dwójkę albo trójkę kandydatów na marszałka.

Ale z racji tego, czym zajmuje się marszałek Sejmu, myślę tu głównie o prowadzeniu obrad, wydawałoby się, że to powinna być osoba, która cieszy się autorytetem, szacunkiem wszystkich opcji politycznych, że jest to ktoś uczciwy i trochę, dziwnie to zabrzmiało, ale apolityczny, prawda?

Tak powinno być. O zupełnej apolityczności nie można mówić, marszałek jest przecież członkiem określonego ugrupowania politycznego...

Ale powinien stać ponad podziałami.

Oczywiście to powinna być osoba, która jest znana z tego, że potrafi zachować bezstronność, obiektywizm. Jestem zwolennikiem tego, aby marszałkami Sejmu zostawali ludzie, którzy mają jakiś staż parlamentarny i dali się poznać, jako posłowie, dali się poznać także jako ludzie. Znamy ich cechy charakteru. Uważam, że tak powinno być. Czy tak jest? Nie do końca. Hołownia marszałkiem został z rozpędu, ledwie wszedł do Sejmu, został drugą osobą w państwie. Akurat, jak powiedziałam, posiadał różne talenty i nie mam zastrzeżeń do jego pracy, choć na koniec wszystko zepsuł. Ale autorytet jest rzeczywiście ważny. Możemy się powoływać na inne kraje, wspomnę chociażby o brytyjskiej Izbie Gmin, ale u nas nigdy tak nie będzie. Tam wybór marszałka to rzecz niesłychanie ważna, on jest nie do odwołania i natychmiast rezygnuje z pełnienia funkcji politycznej. To jest zupełnie inna bajka.

Którego marszałka cenili pan i uważał za dobrego?

Kiedy patrzę na cały szereg marszałków, jaki przewinął się w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat przez nasz Sejm, to z reguły były osoby, które spełniały te cechy, o których mówiłem, przynajmniej w znacznym stopniu. Miały staż parlamentarny, dały się poznać jako odpowiedzialni, dobrzy posłowie, były to osoby szanowane. Więc nie będę wymieniał jednego, ni-



FOT. ADAM JANKOWSKI

Szymon Hołownia zapowiedział, że 13 listopada złoży rezygnację z funkcji marszałka Sejmu, a wybór kolejnego marszałka ma zostać przeprowadzony 19 listopada. Zgodnie z umową koalicyjną ma zostać nim Włodzimierz Czarzasty

kogo nie chciałbym wyróżniać. Natomiast PiS wniósł do naszego życia wiele złego, w różnych dziedzinach, także w kwestii marszałkowania. Bo, niestety, i pan Kuchciński, i pani Witek to były osoby tak tendencyjne, i tak w sposób jawny naruszające regulamin, że niczego takiego wcześniej nie było.

A jak pan wspomina swoje marszałkowanie? Pan marszałkował w Sejmie, kiedy rządziła koalicja SLD, Unia Pracy i PSL, premierem był Leszek Miller, prezydentem Aleksander Kwaśniewski. Spokojnie chyba było w Sejmie?

(Śmiech) Nic bardziej mylnego! Kiedy patrzę na kadencje Sejmu od 1991 roku do dzisiaj, to uważam, że dla marszałka najtrudniejszą kadencją była właśnie moja kadencja.

Dlaczego?

Ano dlatego, że mieliśmy bardzo agresywną opozycję.

Platformę, PiS, Samoobronę i Ligę Polskich Rodzin.

To była mieszanka wybuchowa. Oczywiście Platforma była najspokojniejsza, ale ta pozostała trójka to stwór z piekła rodem - to po pierwsze. Po drugie - nie minęły chyba dwa lata mojego marszałkowania, kiedy koalicja straciła

większość, ponieważ Leszek Miller zdecydował rozstać się z PSL-em.

I mieliśmy rząd mniejszościowy.

Tak, mieliśmy rząd mniejszościowy, który raz wygrywał, raz przegrywał głosowania, ale to miało swoje konsekwencje dla toku prac Sejmu, dlatego że nigdy nie było wiadomo, jakie wnioski padną. Wnioski dotyczące toku obrad, typu: wrzucmy teraz tę uchwałę albo zdejmijmy tę ustawę, albo szybko przejdźmy do głosowania. Nigdy nie było wiadomo, czy taki wniosek nie uzyska większości. Zresztą nie rzadko uzyskiwał.

Wariactwo!

Absolutnie! Musiałem tym wszystkim, że tak powiem, manewrować, przewidywać, co może się wydarzyć. Określałem ten okres jako swoisty stan wojenny. Obserwowałem późniejszych marszałków, od Kuchcińskiego poczynając, Witek, potem był Hołownia - oni pojawiali się w Sejmie na dzień, w najgorszym razie na dwa dni przed obradami, żeby przygotować pewne rzeczy. Byli w trakcie obrad, potem znikali, załatwiali swoje sprawy. U mnie to było niemożliwe.

Cały czas siedział pan w Sejmie?

Prawie. Przede wszystkim to był jeszcze okres przed wejściem Polski do Unii Europejskiej. W związku z tym mieliśmy obowiązek przyjęcia pięciuset ustaw, które nasze prawo zrównywało z prawem europejskim. Bez tego nie weszlibyśmy do UE. Musiałem to wszystko przeprowadzić w Sejmie. W związku z czym obradowaliśmy nie dwa razy w miesiącu po dwa dni, tylko trzy razy w miesiącu po cztery dni i często pracowaliśmy do nocy. Były takie obrady, które kończyły się o drugiej, trzeciej nad ranem.

Jak za czasów Prawa i Sprawiedliwości i VIII kadencji Sejmu.

Ale u nich to chyba z innych powodów.

Chyba tak!

W każdym razie to były bardzo napięte czasy i w tych napiętych czasach miałem bez przerwy ataki głównie ze strony Samoobrony, PiS-u i Giertycha, którzy tak naprawdę byli przeciw wejściu Polski do Unii Europejskiej. W każdym razie robili wszystko, żeby pracę Sejmu opóźnić, spowalniać, żeby zatrzymać. Od poniedziałku każdego tygodnia zbierałem ekipę moich współpracowników, szefów biur i z nimi zaczynałem rozmowy na temat tego, jakie punkty mamy na najbliższym posie-

dzeniu i jakie mogą wystąpić problemy, kto może wystąpić z wnioskiem i z jakim, jak na ten wniosek odpowiadać. Miałem ileś zaproszeń na wyjazdy zagraniczne, miałem zaproszenie do Chin, miałem zaproszenie do Australii, musiałem z nich zrezygnować. Dlatego, że to były wyjazdy nie na jeden, dwa dni, tylko na osiem, dziewięć. A to powodowałyby moją nieobecność i na przykład zawalenie jakiejś sprawy.

Z kim pan miał największe kłopoty? Z Andrzejem Lepperem?

Myślę, to było porównywalne, to znaczy Andrzej Lepper był jeden, a Giertych drugi. Giertych, jemu to zresztą do dzisiaj zostało, to jest taki wykrętny prawnik. On robi to, co w łacińskich paremiach, czyli zasadach prawnych, jest wymienione jako niewłaściwe. Mianowicie tam jest taki punkt: „nie czyn ze swojego prawa złego użytku”. On czynił zły użytek z prawa. Było jak dwa plus dwa równa się cztery: na każdym posiedzeniu, zaraz jak je otwierałem, Giertych ręka do góry, on się chce wypowiedzieć w kwestii formalnej, wychodził i mówił, że na podstawie takiego, a takiego artykułu regulaminu wnosi o przerwę albo wnosi o zmianę porządku obrad, albo o to, żeby dodać jakąś

uchwałę do obrad, odjąć i tak dalej. I trzeba było mu odpowiedzieć, podpierając się prawem. On przeszkadzał w taki sposób. Natomiast Lepper taki wykwinąłny to nie był.

Wchodził na mównicę i krzyczał: „Wersal się skończył!”.

Tak jest. On wchodził na mównicę sejmową i nie schodził z niej jak mu odebrano głos, bo przekroczył wszelkie możliwe czasy wypowiedzi. Wtedy organizowano przerwę, to on wtaczał na salę obrad jakąś wielką maszynę, która okazywała się ogromnym głośnikiem i kontynuował wypowiedź przez własny mikrofon.

Wesoło było!

Jeśli chodzi o Ligę Polskich Rodzin Giertycha, to poza Giertychem, wsławił się Gabriel Janowski, który jak wszedł na mównicę, to nie chciał zejść i siedział na niej dziewiętnaście godzin. Wtedy w nocy podjąłem w końcu decyzję o wyniesieniu go przez Straż Marszałkowską, co było ewenementem absolutnym w historii naszego Sejmu. Następnego dnia natychmiast padły trzy wnioski o odwołanie mnie z funkcji marszałka Sejmu. Zresztą takie wnioski później padały jeszcze dwa razy. Także przeżywałem trzy razy próby odwoływania mnie z funkcji marszałka. Jak

pani widzi, to nie była spokojna kadencja.

Były takie momenty, kiedy myślał pan, że wyjdzie z siebie, czuł, że puszczają mu nerwy?

Nie, jestem generalnie...

Spokojnym człowiekiem.

Tak, spokojny człowiek. Raczej cały czas zastanawiałem się, jak wybrnąć w takiej czy innej sytuacji. Wiedziałem, że na pewno żadne krzyki, żadne kary - chociaż pewnie raz kary nałożyłem - nie przyniosą efektu. Generalnie starałem się tego nie robić. Wiedziałem, że nie tędy droga, że trzeba zrobić przerwę, rozmawiać, namawiać, a czasami pójść na kompromis. Sejm to bardzo delikatna instytucja. Można w jakimś momencie doprowadzić do kompletnego pata. Sytuacji, w której niczego nie będzie już można zrobić. Trzeba bardzo tego unikać. Dlatego patrzyłem na to wszystko raczej jak na zagadkę - lubuję się w logicznych łamigłówkach - którą trzeba rozwiązać.

Oprócz pana kadencji najbardziej burzliwe, to chyba dwie kadencje PiS-u, zwłaszcza pierwsza, prawda?

Tak, myślę, że tak. Dlatego, że to był ten pierwszy okres bezczelnego łamania prawa, konstytucji przez PiS. To było ogromne zaskoczenie dla wszystkich, także dla opozycji, która nie wiedziała, jak zareagować, bo zwykle protesty to było za mało. W Sejmie działy się różne rzeczy, nigdy wcześniej ich w parlamencie nie widziano.

Jak pan myśli, jakim marszałkiem będzie Włodzimierz Czarzasty? Bo to raczej spokojny, wyważony człowiek.

Tak, Czarzasty to spokojny człowiek, inteligentny facet, chociaż ma tendencję do słownego gwiazdorzenia, tak bym to określił. Ale generalnie rzecz biorąc, ma już staż parlamentarny, ma długi staż polityczny, w przeciwieństwie do Hołowni, i w związku z tym, moim zdaniem, absolutnie da sobie radę.

CV



SYLWIA DĄBROWA

Marek Borowski

Polityk i ekonomista. Marszałek Sejmu w latach 2001-2004. Wieloletni poseł, obecnie senator.

TOMASZ ZIĘTEK: AKTORSTWO I MUZYKOWANIE WYPŁYWA U MNIE Z JEDNEGO ŹRÓDŁA

Właśnie oglądamy go w głównej roli w serialu „Czarna śmierć”, który emitowany jest w niedzielne wieczory w telewizyjnej Jedynce. W styczniu zobaczymy go z kolei na kinowych ekranach w filmie „Wielka Warszawska”. Jest też piosenkarzem: śpiewa solo i w zespole The Fruitcakes. Nam Tomasz Ziętek opowiada o tym, co sprawia mu większą frajdę – występy na planie czy na scenie

Patryk Gzyl

Masz w swoim dorobku kilka ważnych filmów opartych na autentycznych wydarzeniach. Aktor inaczej podchodzi do roli w takiej produkcji? Ja lubię tę swobodę, którą daje kreowanie napisanych postaci. Przy bohaterach wzorowanych na autentycznych osobach są pewnego rodzaju obwarowania. Do tego, jeśli są to postaci powszechnie znane, to ludzie mają o nich swoje wyobrażenia i trzeba się z tym konfrontować. Z jednej strony możliwość podejrzenia kogoś prawdziwego i wykreowania roli na podstawie istniejących materiałów jest kusząca, a z drugiej to duże ograniczenie i czasem wręcz pułapka. Bo zamiast skupiać się na scenariuszu, rozpraszamy się, szukając informacji poza nim.

W serialu „Czarna śmierć” grasz reportera Igora Bielika, który próbuje dociec prawdy o epidemii ospy prawdziwej we Wrocławiu w 1963 roku. To postać wzorowana na kimś autentycznym? Mimo że serial bazuje na prawdziwej historii, to mój bohater jest postacią fikcyjną. Ale może scenarzysta miał kogoś autentycznego na uwadze? Nie wiem. Ja w każdym razie bazowałem tylko na scenariuszu.

Słyszałeś wcześniej o tych wydarzeniach?

Nie. Ale to tylko świadczy o tym, jak ówczesna władza skutecznie zadziałała, że udało się jej takie dramatyczne wydarzenia zamieść pod dywan.

Byłeś zaskoczony, gdy dostałeś scenariusz, że coś takiego się wydarzyło? Kiedy dostałem propozycję zagrania w „Czarnej śmierci”, zerknąłem do internetu i okazało się, że jest tylko krótki opis w Wikipedii. Ale samo to hasło było na tyle ciekawe, że od razu zdecydowałem się na rozmowę o tym projekcie. To tak jak Amerykanie mają w zwyczaju zacząć produkować swoje filmy – w zarysie scenariusza już pierwsze zdanie musi powodować zaciekawienie, co dalej. Tak było i tutaj.

Są jakieś książki na ten temat? Tak. Czytałem „Zarazę” Jerzego Ambroziewicza. Na jej bohaterach są wzorowane niektóre postacie naszego serialu. Przynajmniej główna bohaterka – lekarka Alicja Surowiec. Generalnie jednak bazowaliśmy na scenariuszu. Praca przy serialu i filmie to duża różnica. Kręciliśmy te siedem odcinków tak, jakbyśmy kręcili siedem osobnych filmów. Ilość przygotowań i szlifowania różnych rzeczy była momentami wręcz przytłaczająca.

Postać reportera walczącego o prawdę ma długą tradycję w kinie i telewizji. Szukałeś inspiracji w starych filmach czy serialach? Dla mnie najciekawszą przestrzenią były tu lata 60., ponieważ nigdy wcześniej nie miałem okazji kreować bohatera z tamtej epoki. Igor jest młodą osobą, ale doświadczył czasów wojennych. Dlatego jest jakby uodporniony na ludzkie cierpienie. To było dla mnie najważniejsze pole eksploracji. Przyglądaliśmy się reakcjom Igora w konkretnych okolicznościach. Pokolenie, które przeżyło wojnę, reagowało inaczej niż my dzisiaj na takie tragedie, jak choroba czy utrata bliskiej osoby.

Po raz kolejny grasz postać z czasów peerelu. Poznałeś już pewnie dogłębnie tamtą epokę. Jakiek masz zdanie o ówczesnej Polsce? Teraz odkrywamy kolejne karty tamtych historii. Zobaczymy, ile powstaje seriali osadzonych w czasach peerelu. Powoli wiele rzeczy wychodzi więc na wierzch. Oczywiście jest też w naszym serialu pewien rodzaj stylizacji. To była decyzja reżysera, żeby tak to pokazać. Najbardziej uderzające było dla mnie zestawienie tego, co działo się w latach 60. na świecie z tym, co działo się tutaj, w Polsce. Ten kon-

trast wiele mówi o tamtej epoce.

Dziennikarze nie mieli lekkiego życia za czasów PRL-u. Dla młodego widza będzie to zrozumiałe? Cała ta opowieść jest tak zaserwowana, że trafi do młodych widzów. Mamy tu ciekawą historię, wyraziste postacie, wartką akcję. Taki też był zamysł producentów, żeby to było pokazane w takiej atrakcyjnej formie.

Trudno dzisiaj uwierzyć, że władze komunistyczne starały się ukryć prawdę o epidemii. Z czego to wynikało? Myślę, że było wiele czynników. Partyjni władarze bali się przede wszystkim, że ich zwierzchnicy z Warszawy zarzucą im złe gospodarowanie i nieumiejętność poradzenia sobie z takim kryzysem. W efekcie ktoś mógłby po prostu za to polecieć. Rozgrywki polityczne są paliwem takich sytuacji, jak epidemie.

„Czarną śmierć” można odnieść do współczesności. Grając w serialu, przypominały ci się sytuacje sprzed 5 lat z okresu pandemii? Oczywiście. Dlatego serial ma uniwersalny wymiar – współczesny widz bez problemu zrozumie to, co działo się we Wrocławiu w 1963 roku. Kiedy

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 14.11.2025

chodziliśmy na planie w maseczkach, kojarzyło się to wszystkim w jednoznaczny sposób. Co ciekawe, pracując nad filmami, nadal trochę jeszcze tkwimy w tamtej rzeczywistości. Do dzisiaj zdarza się na planach, że wykonuje się testy na covid. Ostatnio we wrześniu były jakieś zachorowania i wróciły poranne testy.

Ty akurat dużo pracowałeś w pandemii, bo kręciłeś „Żeby nie było śladów” i „Hiacynta”. Zdjęcia do „Żeby nie było śladów” przesunęły się przez lockdown prawie o pół roku. Kiedy tylko w wakacje poluzowano obostrzenia, od razu wskoczyliśmy na plan. Zaraz potem kręciliśmy „Hiacynta”, w efekcie czego te filmy się niestety zderzyły. No ale tak czasem bywa. Pamiętam, że mieliśmy próby w maseczkach, co było nieco absurdalne, bo potem graliśmy bez nich. (śmiech)

Chorowałeś? Tak. To było nieuniknione.

Serial to też głos w sprawie szczepionek. Z roku na rok nasila się ruch antyszczepionkowy. Z czego to wynika? To dla mnie niezrozumiałe. Osobiście się z tym nie zetknąłem, ale jestem świadomy, że jest takie zjawisko. Myślę, że to ma związek z generalną tendencją na całym świecie do podważania wszelkich autorytetów. Z tym to jest związane.

Niebawem zobaczymy Cię też na dużym ekranie w „Wielkiej Warszawskiej”, gdzie wcielasz się w dżokeja biorącego udział w wyścigach konnych na Śluzewcu. To było ciekawe wyzwanie? Tak. To było wyjątkowe wyzwanie pod wieloma względami, chociażby dlatego, że wcześniej nigdy nie jeździłem konno. Praca czasem daje mi taką sposobność, by nabyć jakąś nową umiejętność – nie tylko wejścia w jakiś świat, ale też namacalnego jego spróbowania. Tutaj właśnie tak było.

I jak Ci poszło? Na początku z przerażeniem patrzyłem na konie. W końcu to duże zwierzęta, czekało mnie więc sporo pracy. Miałem jednak dużo czasu, bo zanim wszedłem na plan, przygotowywałem się prawie pół roku. Uczylem się jazdy – jeździłem rekreacyjnie w stajni oraz chodziłem na zajęcia fizyczne, trenażery i treningi z prawdziwymi dżokejami. Uczestniczyłem w ich szkoleniach.

Polubiłeś jazdę na koniu? Bardzo. Teraz przez kolejne zlecenia zawodowe nie mogę się za bardzo udzielać konno. Mam jednak wrażenie, że to ze

mną zostanie. To tak samo jak z robieniem zdjęć klasycznym aparatem fotograficznym, które zostało mi po „Czarnej śmierci”. Dzięki temu serialowi nauczyłem się obsługi analogowego aparatu i wywoływania zdjęć na potrzeby scen, które realizowaliśmy. I zostało to ze mną do teraz. Bardzo lubię analogową fotografię.

Ponoć producentka „Wielkiej Warszawskiej” od początku widziała Cię w roli Krzysztofa. To ze względu na to, że fizycznie pasujesz na dżokeja? No tak: niski i chudy. (śmiech) To prawda – zgadzało się. Pamiętam naszą rozmowę przy okazji gdyńskiego festiwalu. Tam pojawił się ten temat i propozycja zagrania tej roli. No i przyznam szczerze, że od razu wydała mi się to wyjątkowa okazja. Zazwyczaj szuka się do danej roli aktora, który ma do jej zagrania jakieś konkretne inklinacje. Tymczasem moja styczność z koniem była wcześniej zerowa. (śmiech) Dostałem więc duży kredyt zaufania ze strony producentów, ale mam nadzieję, że go nie zawiodłem.

Jakie jest środowisko dżokejów w Polsce? Ja uczestniczyłem w treningach uczniów, którzy przygotowują się do roli dżokeja. I co ciekawe, okazało się, że to świat zdominowany przez dziewczyny.

Dlatego, że są lekkie? Też. Ale przede wszystkim dziewczyny są bardziej zainteresowane jazdą konną, nawet w sensie rekreacyjnym.

Dobrze się zarabia w tym zawodzie? Kiedy ktoś wygrywa, to pewnie tak. Najpierw trzeba mieć na czym pojechać, czyli mieć dosiad. Właściciel konia musi zapłacić wpisowe za jego udział w wyścigu, musi więc wierzyć, że mu się to w jakiś sposób przynajmniej zwróci. Zyski są natomiast zależne od rangi danego toru i wyścigu. Spośród wszystkich uczestników tego wyścigowego procederu dżokeje biorą w nim udział jednak przede wszystkim z pasji, a nie z podobek finansowych.

Pomógł Ci ponoć brat Wojtek – trener personalny. Na czym to polegało? Wojtek przygotował mi plan treningowy, który miał mi pomóc w realizowaniu scen z dosiadem sportowym. To specyficzny sposób jazdy na koniu, w którym jeździec unosi się na nogach w strzemiączkach nad siodłem. Chodziło tu o to, aby fizycznie wytrzymać czas realizacji zdjęć.

To było dla Ciebie najtrudniejsze?



FOT. WOJCIECH WĘGRZYŃSKI

Tomasz Ziętek: Serial „Czarna śmierć” ma uniwersalny wymiar – współczesny widz bez problemu zrozumie to, co działo się we Wrocławiu w 1963 roku. Kiedy chodziliśmy na planie w maseczkach, kojarzyło się to wszystkim w jednoznaczny sposób

To generalnie była bardzo satysfakcjonująca praca. Oczywiście fizycznie drenująca, ale teraz, jak się z perspektywy czasu na to patrzy, postrzegam ją jako superprzygodę. Najtrudniejsze było wymyślenie, jak pokazać sceny wyścigu, bo kamera i konie to nie jest oczywiste połączenie. Co ciekawe, nie mieliśmy możliwości jeździć po tym torze, na którym odbywają się normalnie wyścigi. Udawaliśmy tylko, że jeździmy po nim, a robiliśmy to obok toru. Magia kina sprawia jednak, że to wszystko się składa. Nie wspominając o tym, że przez cały okres zdjęciowy kręciliśmy prawdziwe wyścigi, które trafiły potem do filmu, stanowiąc spójną całość z tymi udawanymi scenami.

Tym razem rzecz się dzieje na początku lat 90. To Twoje dzieciństwo. Wtedy rodził się polski kapitalizm. Jak Ci się kojarzy ta epoka?

Patrzę dziś na tamten czas z nostalgią. W „Wielkiej Warszawskiej” musieliśmy tę epokę odtworzyć, bo stolica bardzo się zmieniła od tamtych czasów. A to okazało się niełatwe – trzeba było nadać budynkom czy samochodom ten charakterystyczny rodzaj patyny, jakie miały lata 90., nie mówiąc już o specjalnych kostiumach. Wejście potem w ten świat było bardzo ciekawe.

„Wielka Warszawska” to pod względem rozmachu jedna z największych produkcji zrealizowanych ostatnio w Polsce. Odczuwało się to na planie?

Na pewno pod względem ilości koni w filmie jesteśmy nie do pobicia. Mam nadzieję, że to przełoży się na odbiór „Wielkiej Warszawskiej” w kinach. Mnie jako aktorowi ciężko się do tego ustosunkowywać, bo ja patrzę na film inaczej niż zwykły widz. Ponieważ pracowałem na jego planie, kiedy idę do kina, to mam wrażenie, że oglądam jakiś pamiętnik z wakacji. Widzę, gdzie danego dnia kręciliśmy, które sceny trzeba było dublować i ile razy. Tego rodzaju historii. Nie widzę tej impresji, którą odbiera zwykły widz.

„Wielka Warszawska” dopełnia trylogię scenarzysty Jana Purzyckiego, którą tworzą „Wielki Szu” i „Piłkarski poker”. Co je łączy?

Kluczem do tych wszystkich filmów jest przekręt. Na poziomie fabularnym nie ma żadnych wspólnych elementów w rodzaju powracających bohaterów czy tych samych miejsc akcji. Jan Purzycki chciał nakręcić „Wielką Warszawską” jeszcze w latach 80., ale komunistyczne władze się nie zgodziły, bo nie chciały pokazać ciemnej strony wyścigów na Służewcu.

No właśnie: Twój bohater to dżokej, który musi skonfrontować swoje marzenia z brudnymi realiami wyścigów konnych. Naprawdę tak wygląda polski sport od podszewki?

Z tego, co wiem, wszystko się bardzo zmieniło od lat 90., jeśli chodzi o wyścigi konne. Dzisiaj komputery sprawiają, że organizatorzy mają niewyobrażalnie większe możliwości weryfikacji wielu rzeczy. W tamtych czasach tego nie było, co pozwalało na różne przekręty. Teraz gra się rozgrywa na innych poziomach niż kiedyś.

Obecnie masz dwie duże produkcje: „Czarną śmierć” i „Wielką Warszawską”. Ale w minionych trzech latach bardziej skupiałeś się na śpiewaniu niż aktorstwie. Z czego to wynikało?

Chciałem wydać solową płytę i pojechać w trasę koncertową. Teraz pracuję nad drugim albumem. Instrumenty są już zarejestrowane, czeka mnie jeszcze nagranie wokali. Może uda się to skończyć w tym roku. Praca na filmowym planie trochę utrudnia jednak te działania, jestem bowiem w trakcie zdjęć do nowego projektu do stycznia.

Znaliśmy Cię do tej pory z zespołu The Fruitcakes. Co Cię skłoniło, aby rozpocząć solową działalność?

W ciągu ostatnich lat nabierałem do szuflady sporo pomysłów, które nie pasowały

do The Fruitcakes i chciałem się z nich po prostu odkorkować. Przez to, że gdzieś tam one leżały, czułem, że nie mogę pójść dalej, dopóki nie ujrzą światła dziennego. Cały czas komponuję i piszę nowe piosenki, więc naturalne jest, iż chcę, aby docierały do słuchaczy. Teraz kończę drugą płytę, a komponuję już rzeczy na kolejną. Jestem więc myślami dalej. Ale ten proces trzeba doprowadzić do końca, a tym końcem jest moment oddania płyty w ręce słuchaczy. Stawiam sobie deadline na przyszły rok i mam nadzieję, że się uda.

Wolisz działać solo niż w zespole?

Z racji moich aktorskich obowiązków jest mi łatwiej działać solo niż z zespołem, tym bardziej że nasz perkusista jest szwagierem i tam robi karierę ze swą nową grupą. Ostatnio był nawet z koncertami w Polsce. W The Fruitcakes jesteśmy wszyscy czterej kompozytorami, tworzenie repertuaru jest więc nieco bardziej skomplikowane. Na pewno wrócimy jeszcze z jedną płytą, bo trwają nad nią prace. Ale to w swoim czasie. Moje piosenki nie mieszczą się w formule The Fruitcakes, więc śpiewam je sam.

Słychać w nich mocne echa folku i country, a to przecież amerykańskie brzmienia. Co Cię ciągnie za Atlantyk?

Nie kategoryzowałbym tego geograficznie. Wydaje mi się, że to tylko kwestia użytego instrumentarium. Gitara akustyczna tak mocno się kojarzy. Na pewno jest to wypadkowa tego, co sam słucham – ostatnio to głównie amerykański zespół Wilco i jego frontman Jeff Tweedy. To moje najważniejsze inspiracje. Choć teraz, żeby się wesprzeć na duchu w czasie realizacji filmu, słucham starych hitów. Bo dobre nastawienie to połowa sukcesu. A obecnie pogoda jest straszna, do tego dużo kręcimy w nocy, nie jest więc lekko. Muzyka daje mi jakże potrzebny promyk słońca.

W Twoich piosenkach jest dużo nostalgii. Skąd się ona bierze?

Gdybym wiedział, to pewnie bym nie pisał piosenek. (śmiech) Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Ja tak sobie to diagnozuję, że to potrzeba tworzenia, która znajduje różne sposoby ujścia. Po części w postaci kreacji aktorskich, a po części w piosenkach, w tekstach. Dla mnie to wszystko wypływa z jednego źródła. Ale gdzie ono jest? Nie wiem, czy kiedykolwiek będę umiał sobie odpowiedzieć na to pytanie. Zaletą pracy solowej nad muzyką jest to, że większość rzeczy robię sam, dlatego mam większy wpływ na tę wypowiedź. Praca w filmie ma bardzo zbiorowy charakter. Na moją kreację aktorską składa się charakterystyka

cja, kostium, oświetlenie, pokazanie tego w obrazie. Dlatego czuję, że w obszarze muzycznym mam większą sprawczość. W efekcie jestem inaczej spełniony.

A co Ci przynosi więcej radości?

Nie wiem. Bo kiedy robię jedno, to tęsknię za drugim. I na odwrót. To taki wieczny dylemat. (śmiech)

Masz za sobą koncerty solowe. Jesteś zadowolony z tej trasy?

Tak. Cieszę się bardzo, że mogłem podczas tych występów zaprezentować piosenki już z tej mojej drugiej płyty. Dzięki temu mogłem energetycznie odbić się od reakcji ludzi na te numery, co miało wyraźny wpływ na ich ostateczny kształt. To były zawsze miłe spotkania w całej Polsce i od razu okazja do wielu prywatnych odwiedzin. Mam nadzieję, że w przyszłym roku znów uda mi się wygospodarować czas na taką trasę. Zobaczmy, jak to się potoczy.

Na Twoich koncertach dominują dziewczyny. To ze względu na Twoją aktorską popularność?

W dużej mierze pewnie tak. Ale wydaje mi się, że nie tylko. Miałem okazję spotkać się po tych koncertach z kilkoma ojcami, którzy przyszli ze swoimi córkami i byli bardzo zadowoleni, że słuchają one czegoś, czego i oni z przyjemnością mogą posłuchać. (śmiech) Czyli trafiam jednak i do facetów.

Sam jesteś od ponad roku ojcem. Jak się odnajdujesz w tej roli?

To zdecydowanie moja najważniejsza rola w życiu. Ale to praca w innej lidze.

Wdrożyłeś się już w opiekę nad maluchem?

Co chwilę są jakieś nowe wyzwania, więc chyba nie da się tak wdrożyć totalnie raz a dobrze. Ale to zawsze ciekawe zajęcie i cudowny czas, choć operuje się w zupełnej innej gęstości materii życia.

Jakim jesteś ojcem?

Na pewno jestem ojcem pracującym, ale zawsze staram się jakoś rekompensować synowi swoją nieobecność. Co ciekawe: syn miał okazję być już ze mną na kilku planach, choćby przy wspomnianej „Wielkiej Warszawskiej”. Oglądał konie w stajni. (śmiech)

To pewnie wyrośnie z niego kolejny aktor.

Zobaczmy, jeszcze do tego dużo czasu. Jak na razie cieszę się, że w „Czarnej śmierci” po raz pierwszy w karierze mogłem zagrać ojca. Mam tam kilkuletnią córkę, mogłem więc czerpać na planie z prywatnych doświadczeń, a nie tylko z wyobraźni.

REPORTAŻ

Wielkie poszukiwania w Parku Narodowym Olympic

W USA istnieje 59 parków narodowych. Najstarszym z nich jest Yellowstone – utworzony 1 marca 1872 r. Największe zajmują ponad 30 tys. kilometrów kwadratowych, ale np. Park Narodowy Wrangla to ponad 53 tys. kilometrów, czyli prawie tyle co Chorwacja.

Oto Jon Billman

Ale nie o tym jest ten tekst, lecz o konsekwencjach parkologii. O ile bowiem parki to w Stanach miejsca o statusie niemal mitycznym – symbole dzikiej natury i wolności, mają też swoją mroczną stronę. Otóż parki to miejsca, w których giną ludzie. Zjawisko wzięło na warsztat Jon Billman, dziennikarz, pisarz, nauczyciel w liceum, ale także strażak i miłośnik wędrówek. O naturze wie sporo, bo mieszka z rodziną w drewnianej chałupie na półwyspie Upper Michigan, nad rzeką Chocoley. Niewielkiej, liczącej zaledwie 39 kilometrów, ale mającej znamiona dzikości.

Gdzie jest Jacob?

Billman zaczął pisać o parkowych zaginięciach w 2017 r., gdy w Parku Narodowym Olympic zniknął niejaki Jacob Gray. Jacob rozplątał się dosłownie we mgle. Nie było żadnych świadków, żadnego śladu. Psy tropiące kręciły się w kółko. Poszukiwacze, w tym Billman, tygodniami przemierzali bezdroża, szukając Jacoba. I to z tych wypraw, długich rozmów przy ogniskach i z lokalsami powstała książka „Urwany ślad” – na poły reportaż, na poły zapis osobistych doświadczeń autora.

600 tys. zaginionych

Billman dowodzi, że zaginięcia w parkach narodowych są problemem społecznym, a przynajmniej tak powinny być traktowane. Wymagającym interwencji władz i na tyle intrygującym, że nie sposób policzyć ofiar – okazuje się, że co roku w amerykańskich lasach giną setki, a może tysiące ludzi. Ile dokładnie, nikt nie wie, bowiem nie sposób ich policzyć. Tzw. NamUs, czyli National Missing and Unidentified Person System, baza danych Departamentu Sprawiedliwości co roku odnotowuje zniknięcie 600 tys. ludzi. Większość się odnajduje, ale spory odsetek znika. Problem w tym, że nie sposób wskazać tych, którzy znikają akurat w głuszy parków narodowych.

Kto za tym stoi?

Dlatego nieodłącznym elementem zjawiska są najbardziej fantastyczne teorie spiskowe: mafia, sekretne komórki FBI, bandy psychopatycznych kanibali albo UFO. Sporą popularnością cieszy się teoria, że ludzie porywa Wielka Stopa i jej krewniacy, czyli amerykańscy kuzyni yeti. No i bądź tu człowieku mądry: 59 parków, ale strach się do nich wybrać, bo można stać się ofiarą kosmitów albo kilerów z FBI. Gdzie więc z przyrodą? Gdzie pole do ekologicznych wzruszeń? Billman ma rację: bez interwencji rządu federalnego sen o amerykańskiej wolności na łonie natury może zniknąć jak ów nieszczyśny Jacob Gray. **margra**



Jon Billman, „Urwany ślad. Zaginięci w amerykańskich parkach narodowych”. Wyd. Czarne, Wołowiec 2025, cena 64,90 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

ROBERT LEWANDOWSKI

Postawił granicę
Kiedy słynny piłkarz przeprowadził się do Barcelony, w internecie zaroilo się od filmików, na których widać, jak jego żona tańczy zmysłową baletkę z przystojnymi instruktorami. Wywołało to fale seksterskich komentarzy i sugestii, że Lewandowska romansuje na prawo i lewo. Teraz z wydanej właśnie biografii „Lewandowski. Prawdziwy” dowiadujemy się, że mężowi celebrytki było to bardzo nie w smak. – Internet płonął, wszędzie były filmiki, stop-klatki, komentarze. W końcu się wkurzyłem, bo było tego za dużo – powiedział sportowiec. I dodał: Chociaż zawsze wspieram moją żonę i jej pasję, to w tamtym przypadku musiałem postawić granicę. Nie była to jednak kwestia samego tańca, a tego, jak to wszystko wyglądało z boku i jak się czułem, obserwując cały ten hejt.

KATARZYNA CICHÓPEK

Czyniła podchody

Plotkarskie media dowiedziały się, że na niedawnym ślubie celebrytki i Macieja Kurzajewskiego zabrakło dwóch ważnych dla nich osób. Otóż na ceremonii nie pojawił się szesnastoletni Adam, syn Katarzyny Cichopek i Marcina Hakiela. Chłopak przebywał bowiem wtedy na wymianie uczniowskiej w Argentynie. – Moja była próbowała robić podchody, żeby go ściągnąć, ale wymiana na tym polega, że on ma tam być – zdradził Hakiel w rozmowie z Plotkiem. Nie było na ślubie również Franciszka – starszego syna Macieja Kurzajewskiego i Pauliny Smaszczy. Mężczyzna otrzymał zaproszenie wraz z żoną, ale odpuścił sobie uroczystość. Ponoć w rewanżu ojciec nie zaprosił go na maraton nowojorski, w którym wcześniej zawsze startowali razem. Co ciekawe, Franciszek nie posługuje się nazwiskiem Kurzajewski, tylko przyjął nazwisko żony – Vaccari.

KUBA WOJEWÓDZKI

Zajął prezenterkę

Celebryta zasugerował niedawno w telewizji, że jest już po ślubie, co przyjęto raczej z niedowierzaniem. Jednak chwilę później paparazzi przyłapali Wojewódzkiego w towarzystwie prezenterki pogody Żanety Rosińskiej. 62-letni gwiazdor TVN i jego 35-letnia



Kuba Wojewódzki zasugerował niedawno w telewizji, że jest już po ślubie. Wybranką ma być Żaneta Rosińska

towarzyszka wybrali się na wspólny lunch, a na ich palcach wypatrzone obrączki. Jakby tego było mało, ostatnio prezenter pochwalił się wspólnym wypadem z żoną do Dubaju. Teraz Pudelek przypomniał, że już w czerwcu tego roku Wojewódzki opublikował w internecie zdjęcie, na którym wspólnie z Rosińską pozują przy urnie wyborczej. Swą partnerkę nazwał „pierwszą damą”, a siebie „ostatnim chamelem”. Kiedy w komentarzach pojawiły się wyznania miłości do Rosińskiej, odpisał jednoznacznie: „Niestety, zajęta”.

MAŁGORZATA ROZENEK-MAJDAN

Woli konkrety

Celebrytka może pochwalić się imponującą liczbą 1,5 miliona obserwujących na Instagramie. Dzięki temu zarabia ogromne pieniądze na umieszczanych na swoim profilu płatnych reklamach. Kiedy niedawno gościła w podcaście Żurnalisty, stwierdziła: Nie liczba polubień i liczba followersów ma dla mnie znaczenie, tylko faktura, którą wystawiam w związku z tym danym kontem czy aktywnością na koniec miesiąca. (...) Gdybyś mnie zapytał, czy wolałabym mieć 200 tysięcy polubień pod jednym postem, czy 200 tysięcy złotych, to... Rozumiesz? Dopóki udaje mi się to łączyć w takim sensie, że nie zwracam na to uwagi, ale tu na fakturze się zgadza, to w ogóle nie myślę o polubieniach czy ilości obserwujących. Chociaż cieszę się na każdego – podsumowała.

MICHAŁ KOTERSKI

Stracił kawalek osobowości

Celebryta zamieścił wpis na instagramowym profilu założonej przez siebie kliniki leczenia uzależnień, że jego prywatne konto na platformie zostało z niewiadomych przyczyn zablokowane. „Nie jest to koniec świata, ale też nie jest to przyjemne uczucie. (...) W dzisiejszych czasach, gdzie kontakt z ludźmi, w moim wypadku też z moimi fanami, przenosi się w dużej mierze do internetu i na social media, jest to bardzo przykre uczucie, kiedy coś takiego tracisz, bo to jakbyś stracił kawalek swojej osobowości i historii” – napisał.

OLGA FRYCZ

Chce schudnąć przed ślubem

Celebrytka pojawiła się z narzeczonym Albertem Kosińskim w studiu „Pytania o śniadanie”, by opowiedzieć o emocjach towarzyszących im przed narodzinami dziecka. Według dokładnych wyliczeń do porodu zostało niespełna sto dni. Przyszli rodzice wiedzą już, że na świat przyjdzie chłopiec i wybrali dla niego imię Jan po słynnym dziadku. Zapytana o ewentualny ślub, Frycz stwierdziła: Ja to najchętniej poszłabym już do urzędu i wzięła ślub, ale chciałabym troszkę schudnąć. Po prostu chciałabym się czuć taka jak sprzed ciąży, więc poczekamy, ale to nie jest u nas żaden temat tabu. Ten ślub pewnie i tak będzie – podkreśliła.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Odwaga będzie Twoją mocną stroną. Horoskop dzienny radzi podjąć decyzję, której unikasz od dłuższego czasu.

Ryby (19.02 - 20.03)

Uporządkuj sprawy finansowe. Horoskop na dziś wróży, że spokój umysłu da Ci więcej niż szybki zysk lub ryzyko.

Baran (21.03 - 19.04)

Zaufaj intuicji. Ktoś z przeszłości może się odezwać. Horoskop dzienny na piątek mówi, że to dobry moment, by wyjaśnić stare sprawy.

Byk (20.04 - 20.05)

Daj sobie odrobinę luzu. Horoskop na dziś to wyraźna wskazówka, by nie przejmować się drobiazgami.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Uważaj, by nie zdominować rozmów z innymi osobami. Horoskop dzienny na piątek to wskazówka, by słuchać uważnie innych ludzi.

Rak (22.06 - 22.07)

Nie przesadzaj z kontrolą innych ludzi. Horoskop dzienny na piątek przypomina, że czasem improwizacja daje lepszy efekt niż plan.

Lew (23.07 - 22.08)

Znajdź równowagę między sercem a rozumem. Horoskop dzienny zapowiada, że drobny gest może odmienić na długo czyjś nastrój.

Panna (23.08 - 22.09)

Sekret może wyjść na jaw. Zachowaj zimną krew. Horoskop na dziś zapowiada, że prawda okaże się Twoim sprzymierzeńcem.

Waga (23.09 - 22.10)

Przygoda kusi, ale zastanów się dwa razy. Horoskop dzienny na piątek mówi, że nie wszystko, co błyszczące, jest warte Twojej uwagi.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Dziś liczy się cierpliwość. Nie przyspieszaj wydarzeń. Horoskop dzienny mówi, że efekty przyjdą wkrótce same.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Inspiracja pojawi się z zaskoczenia. Nie odrzucaj szalonych pomysłów. Horoskop na dziś mówi, że jeden z nich ma bardzo duży potencjał.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Emocje będą intensywne. Nie bój się marzyć, ale trzymaj nogi na ziemi. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że realizm Ci pomoże.

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie – myśl Seweryna Barbaga.

ROZWIĄZANIE: IM DALEJ W LAS, TYM WIĘCEJ SKANDALU.